

OPOWIEŚCI BROKOWSKIE  
NIEZWYKŁY CZŁOWIEK – WIKTOR GODLEWSKI

Wertując stare gazety w poszukiwaniu tematów do moich opowieści, natknąłem się na klepsydrę informującą z żalem, że 17 listopada 1900 r. zmarł Wiktor Godlewski, znany podróżnik po Syberii, który wraz z Benedyktem Dybowskim badał tamtejszą przyrodę. Po powrocie w strony rodzinne gospodarował na dzierżawach, a wreszcie we własnym majątku w Smolechach, gdzie żywota dokonał i spoczął na wieki na cmentarzu w Jasienicy<sup>1</sup>.

Do Jasienicy, gdyby jechać na skróty rowerem, niewiele jest dalej z Broku niż do Ostrowi, do wioski zaś Smolechy jeszcze bliżej, a ta ostatnia miejscowość należała przez wieki do klucza brokowskiego dóbr biskupów płockich. O Wiktorze Godlewskim w życiu nie słyszałem, a lubię pisać o osobach i wydarzeniach mało znanych, więc nie pozostało nic innego, jak pomyszkować po księgach i dokumentach. Niestety, jeśli nie liczyć kilku listów urzędowych, to pan Wiktor nie pozostawił po sobie żadnej korespondencji prywatnej, a tym bardziej pamiętników czy wspomnień, więc opowieść została spisana na podstawie materiałów pozostawionych przez osoby, które z naszym bohaterem się zetknęły, a przede wszystkim wspomnień jego przyjaciela Benedykta Dybowskiego. Sympatyczny był najwidoczniej pan Wiktor i łatwo sobie ludzi zjednywał, skoro nie zetknąłem się z żadną opinią, która by imię jego szkalowała, a przecież w polskim syberyjskim świątku, który szybko adaptował wzory ojczyste, było o to łatwo.

---

<sup>1</sup> *Więści. Ś. p. Wiktor Godlewski*, „Gazeta Świąteczna”, 1900, nr 49 z 9 grudnia.

Nad Bugiem wprost roi się od Godlewskich, a i dawnych szlacheckich zaścianków, a obecnie wioski o nazwie Godlewo z przeróżnymi przydatkami jest niemało. Nie brakowało też Godlewskich w parafii brokowskiej i po drugiej stronie Buga w sadowieńskiej. Niejeden mieszkaniec okolicy, gdy pocznie studiować dzieje swego rodu, natknie się na Godlewskiego. Także i w mojej rodzinie Łucja córka Mateusza Madzelana wyszła na początku XIX w. za Adama Godlewskiego. Później zaś trafił się brokowiakom i burmistrz o tym zacnym nazwisku. Wiktor Ignacy Godlewski przyszedł na świat 30 grudnia 1831 r. o 10 wieczorem, ani blisko, ani daleko od okolic naszych, bo w Bogutach Wielkich, leżących kawałeczek za Nurem<sup>2</sup>. Także i zaścianków o nazwie Boguty było najmniej kilka, a że wszystkie z tych zaścianków były o rzut beretem od przeróżnych Godlewów, to nie dziwota, że Aleksander Godlewski, ojciec naszego bohatera stał się posesorem Bogut Wielkich. Posesorem, a nie dziedzicem, więc najprawdopodobniej dobra te dzierżawił. W momencie narodzin Wiktora, urodzony w parafii zuzelskiej pan Aleksander liczył sobie już wiosen 52, podczas gdy jego małżonka Anna Karolina z Ciołkowskich ledwie 28. Pobrała się ta para w Strękowie w parafii nurskiej<sup>3</sup>, gdzie panna młoda pomieszkiwała u stryja swego, dziedzica tejże wioski, a pan Aleksander był tam ekonomem. Rodziców panny Anny Karoliny na ślubie nie było, gdyż rozwiedli się i mieszkali daleko – tata Ignacy pracował w mieście Płocku na jakiejś posiadzie rządowej, mama zaś Katarzyna mieszkała w Warszawie.

Pan Aleksander Godlewski osierocił kilkoro swych dzieci, gdy Wiktor lat miał ledwie dziewięć<sup>4</sup>. Zmarł pan Aleksander, nosząc dumny tytuł dziedzica wsi Godlewo Wielkie. Nazwa miejscowości i tytuł pana Aleksandra brzmią pompatycznie, ale zwykle były takie mająteczki po uszy zadłużone, a najmniej kilkunastu familiantów rościło sobie prawa do schedy. Bo z tymi drobnoszlacheckimi fortunami, to było mniej więcej tak.

Abacki, dziedzic Abatowa córkę swą wydał za Babackiego. Babaccy tytułem spadku po Abackim dziedziczyli część Abatowa i nazwali ją Abatowem Babackim. Synów i córek mieli ci Babaccy kilkoro, a Abatowo Babackie przypadło po ich śmierci Janowi i córce Eugenii, tej co wyszła za Cabackiego. Szwagrowie chcieli się schedą w pokoju podzielić, ale nie szło tego nijak zrobić, bo z racji mnogości porzucanych wszędzie piasków, lasków, zagajników, łąk podmokłych i suchych, ziem ornych przeróżnej żyzności, nie szło tego wszystkiego po równo podzielić. Jan i mąż Eugenii podzielili więc między sobą grunty, tworząc szachownicę, a raczej płataninę pól. Szczęśliwie jedna z córek Babackich wyszła za urzędnika z Pułtusza, druga zaś za rejenta spod Lublina, więc dóbr nie było potrzeby całkowicie rozdrabniać, bo wystarczyła tylko tych spłata córek, ale że gotowego grosza brakło, to nad Abatowem Babackim zaciążyła hipoteka. W międzyczasie zjawiał się adwokat Dabacki i przedstawił kwity, z których wynikało, iż kuzynka pierwszej żony dziedzica Abackiego miała przed półwiekiem przyznane prawo do części lasów Abatowa, więc teraz córka tej kuzynki żąda spłaty i tym sposobem dług hipoteczny jeszcze się powiększył. Dziedzice umierali, spadkobierców przybywało, więc dzieliła się fortuna na coraz drobniejsze części, a dziedzicem mienił się ktoś, kto miał prawo do ćwierci 1/16 majątku. To znaczy najprawdopodobniej miał, bo ze stosów dokumentów nie można było

<sup>2</sup> *Księga aktów urodzenia przy kościele filialnym boguckim 1831 r.*; akt nr 67.

<sup>3</sup> *Księga małżeństw parafii Nur 1822 r.*; akt nr 16.

<sup>4</sup> *Księga aktów zejścia parafii Zuzela 1840 r.*; akt nr 80.

do końca pomiarkować, kto miał i do czego prawo, a tylko adwokaci opływali w dostatki. Od czasu do czasu zdarzało się, że gospodarkę obejmował jakiś dziedzic pracowity i geniusz organizacyjny zarazem. Młyn, gorzelnię, słodownię, karczmę wyremontował, tartak i cegielnię pobudował, nie dawał się oszukiwać przy sprzedaży zbiorów i sam wszystkiego dopilnował. Majątek stawał się dochodowy, wolny od długów i roszczeń własnościowych. Później jednak, czy to z powodu klęsk naturalnych, wojen, rewolucji krajowych albo z racji tego, iż sukcesorzy okazali się marnotrawnymi bęcwałami, cykl powyżej nakreślony zaczynał się od nowa.

Te kilka dygresji odnośnie do korzeni pana Wiktora i drobnoszlacheckiego gospodarowania, jest o tyle istotnych, że choć nasz bohater nie pochodził z ludu, to można przyjąć za pewnik, że dziedzicem magnackiej fortuny nie był, a jego przyszłość nie malowała się w jasnych wyłącznie kolorach. Środków na zdobycie wyższego wykształcenia zapewne nie stało i dlatego niezwykle zdolny młodzian, ograniczył edukację do sześcioletniego gimnazjum wojewódzkiego w Łomży. Choć po prawdzie, to nie wiemy, ile lat spędził w Łomży, bo przecież jako chłopczyna utalentowana, mógł być samoukiem i zdać eksternistyczny egzamin, dajmy na to – od razu do klasy piątej. Choć miasto Łomża było wówczas jeszcze powiatowym, a nie gubernialnym, to należało ponoć do znamienitszych w Królestwie Polskim. Miało cztery kościoły, zbór protestancki działający w budynku po zlikwidowanej farze kapucyńskiej, okazały ratusz, trzy rynki, ogród spacerowy i wreszcie gmach gimnazjum, który zajmował budynki po byłych kolegiach – pijarskim i jezuickim. W gimnazjum tym nauczał Jakub Waga, zapalony botanik i autor dzieła *Flora Polski*. Waga przepadał za wycieczkami, z namiętnością badał florę i gromadził okazy. Dobrze znał pan Jakub przyszłego założyciela instytutu leśnego w podbrokowskim Feliksowie Wojciecha Jastrzębowski. W roku 1829 obaj panowie odbyli podczas wakacji szereg wspólnych wycieczek po województwach: augustowskim, podlaskim, mazowieckim, sandomierskim i lubelskim.

Wnet po zakończeniu edukacji udał się młodzieniec na praktykę gospodarczą do swego krewniaka Józefa, a później administrował dobrami ziemskimi w różnych okolicach. Jako znakomity organizator i osoba uczciwa musiał być ceniony przez dziedziców, oczywiście pod warunkiem, że i właściciele byli osobami rzetelnymi, co nie było regułą. Nie przestawał interesować się przyrodą i był w stałym kontakcie z Feliksem Pawłem Jarockim, dyrektorem Warszawskiego Gabinetu Zoologicznego. Gabinet ten, po zakupieniu ok. 20 tys. okazów od sukcesorów śląskiego barona Sylwiusza Münkowitza posiadał jedną z największych w Europie kolekcji. Godlewski jako zapalony myśliwy i przyrodnik, każdą wolną chwilę spędzał w lasach i na łąkach, wypatrywał zwierzyny i wzbogacał warszawski gabinet o kolejne okazy.

Przełomowym dla dalszych losów pana Wiktora okazało się spotkanie z Benedyktem Dybowskim na początku powstania styczniowego. Pan Benedykt wysłany został przez władze powstańcze z tajną misją do Kijowa, pod pozorem objęcia katedry zoologii na tamtejszym uniwersytecie. W Kijowie spotkał się z licznymi konspiratorami, a w tym m.in. z lekarzem Józefem Łagowskim oraz ze znanym mu już z Dorpatu lekarzem i geologiem Aleksandrem Czekanowskim. W podróży zaś powrotnej zawarł w znajomość z Wiktorem Godlewskim. Dybowski tak to spotkanie zapamiętał:

Po raz pierwszy spotkałem się z nim, wracając z Kijowa; wsiadł do Szteinkellerki<sup>5</sup> na którejś ze stacji, pomiędzy Lublinem a Warszawą. Po przywitaniach i wzajemnej rekomendacji powiedział G., że mnie widział, wchodzącego do Wałęckich wtedy, gdy on od nich wychodził; w czasie rozmowy dowiedziałem się, że zna dobrze Taczanowskiego, któremu dostarczał rzadsze gatunki ptaków krajowych, że jest sam namiętym myśliwym; mówił o krewnych swych Tukałach, których znam osobiście, słowem mieliśmy dużo punktów stycznych, tak, że w czasie krótkiego, wspólnego przejazdu na przestrzeni kilku zaledwie stacji, bo wysiadł przed Warszawą, byliśmy ze sobą, jako dobrzy, starzy znajomi. Wiedzieliśmy już o sobie, że jedziemy z polecenia władz narodowych. Mogliśmy mówić zupełnie otwarcie, bo w karetkce, oprócz nas dwóch, nikogo więcej nie było<sup>6</sup>.

W chwili opisanego spotkania był ponoć pan Wiktor delegatem powstańczym na Podlasie<sup>7</sup>. Z dokumentów, które pozostały w zespole archiwalnym w Irkucku<sup>8</sup>, wynika, że przynajmniej do wybuchu powstania, zarabiał pan Wiktor na życie jako zarządca stacji pocztowej, ale brak jest informacji, gdzie rzeczona stacja miałaby się znajdować. Możliwe, że gdzieś w położonym na wschód od Warszawy powiecie stanisławowskim, skoro inne źródło podaje, że w chwili aresztowania był powstańczym naczelnikiem tego powiatu<sup>9</sup>. Według tego ostatniego źródła w momencie aresztowania nie był urzędnikiem pocztowym, ale zarządcą majątku Kamionna k. Łochowa. Tę drugą wersję uprawdopodobnia fakt, że to właśnie Godlewscy byli w XIX w. właścicielami tego majątku. Wersja ta jest kusząca, bo z tej leżącej pomiędzy Łochowem i Stoczkiem Węgrowskim miejscowości jest zaledwie 17 km do Sadownego i tylko ciut dalej do Broku. Został aresztowany za przynależność do organizacji rewolucyjnej, a następnie skazany na dwanaście lat katorgi w syberyjskich kopalniach.

W zależności od dowiedzionego przez sąd polowy lub władze administracyjne przewinienia wobec caratu, uczestników powstania dzielono na pięć kategorii. Nieszczęśników z kategorii pierwszej karano śmiercią, a z kategorii piątej puszczano na wolność przy zachowaniu policyjnego dozoru. Nasz bohater został najprawdopodobniej zaliczony do kategorii drugiej, czyli złapanych z bronią w ręku albo nawet i bez broni, ale którzy bez żadnej wątpliwości brali udział w powstaniu. Czasami i w tym przypadku zdarzały się wyroki śmierci, ale zwykle była to długoterminowa katorga z pozbawieniem praw stanu (np. tytułu naukowego). Nie wiemy, kiedy doszło do aresztowania, ale stać się to musiało w pierwszych miesiącach powstańczego zrywu, skoro w urzędzie w Tobolsku został pan Wiktor zarejestrowany pod koniec listopada 1863 r., a do Irkucka przybył na początku lutego roku następnego<sup>10</sup>. W Irkucku wyznaczano miejsca odbywania kary. Godlewski został skierowany do Pietrowska. Tamtejsze kopalnie stanowiły część Nerczyńskiego Okręgu Górniczego, który już w wieku XVIII zapisał się w historii zsyłek na Syberię. Zesłani tam więźniowie odbywali karę w kopalniach rud ołowiano-

<sup>5</sup> Wieloosobowy dyliżans pocztowy, produkowany w wytwórniach P.A. Steinkellera [przyp. aut. artykułu].

<sup>6</sup> Benedykt Dybowski, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*, s. 103.

<sup>7</sup> Gabriel Brzęk, *Benedykt Dybowski*, s. 53.

<sup>8</sup> G. A. Pietruchowa, *Polscy badacze Syberii (w świetle materiałów archiwalnych)*, s. 372, 373.

<sup>9</sup> Katarzyna Kowalska, *Godlewski Wiktor*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 8, s. 187.

<sup>10</sup> G. A. Pietruchowa, dz. cyt.

srebrnych, w płuczkach złota, przy poszukiwaniach kruszców oraz w zakładach związanych z wydobywaniem minerałów. Wszyscy zatrudnieni otrzymywali zapłatę, choć katorżnicy tylko 3 ruble miesięcznie, co odpowiadało tygodniowemu zarobkowi wolnonajemnego górnika w Królestwie Polskim w połowie XIX wieku<sup>11</sup>.

## PIETROWSK

*Pietrowskij Zawod* powstał w roku 1830 jako miejsce uwięzienia rosyjskich dekabrystów. Do 1830 r. dekabrystów więziono w Czycie. Przeniesieni tam zostali z Irkucka, gdyż car Mikołaj I oburzył się na wieść o ich zbyt łagodnym traktowaniu w tym ostatnim mieście. Za swój skandaliczny liberalizm wielu urzędników zamieniło eleganckie uniformy na katorżnicze łachmany. W Pietrowsku rygory powoli łagodząco i w końcu zezwolono dekabrystom na zamieszkanie wraz z żonami na kwaterach prywatnych.

Los zesłanych zależał w dużym stopniu od szczęścia, a dokładniej od miejsca, do jakiego trafili i jakim człowiekiem był naczelnik. Pośród tych ostatnich wielu było ludzi pobłażliwych, wyznających zasadę „żyj sam i daj żyć innym”, ale trafiali się zwyrodnialcy. Postrach budziły kopalnie w Akatui, gdzie powstał rysunek katorżnika przykutego do taczki. Pietrowsk nie należał zdaniem uwięzionych do zakładów łagodniejszych, ale trzeba przyznać, że nie budził grozy.

Nie wiemy, jak dokładnie przebiegała podróż naszego tytułowego bohatera na Syberię. Z pewnością do Niżnego Nowogrodu został przewieziony koleją, a później poruszał się pieszo albo na kibitce. Kibitka przysługiwała tylko osobom wyższego stanu, a Godlewski został pozbawiony wszelkich praw stanowych. Osoby zamożne mogły nawet wynająć lub kupić własny środek lokomocji – zwykle resorowany powóz zwany tarantasem<sup>12</sup>. Pewnych informacji dostarcza nam pamiętnik Ludwika Jastrzębca Zielonki, który wraz z Godlewskim znalazł się w Pietrowsku. Pan Zielonka przybył do Tobolska po dwudziestodniowej podróży pocztowymi powozami. Konwój poruszał się dniem i nocą, z kilkugodzinnymi zaledwie postojami w Permie i w Jekaterynburgu. Ponad 3000 km dzielących Tobolsk od Irkucka zesłaniec przebył pieszo i do stolicy Syberii Wschodniej przybył po 9 miesiącach wędrówki, kompletnie wyczerpany, okryty strzępami odzieży. Z dokumentów wynika, że Wiktor Godlewski przebył tę samą odległość 4 razy szybciej, więc najprawdopodobniej podróżował, jeśli nie kibitką to końską podwodą. Jedna taka podwoda przypadała na dwóch więźniów uprzywilejowanych albo na sześciu nieuprzywilejowanych, a dokładniej na ich nieuprzywilejowane bagaże, bo sami musieli iść piechotą. Często, w porozumieniu z dowódcą konwoju wsiadali po 2-3 na podwodę. Spano zwykle w domach etapowych, czyli zatłoczonych, brudnych, pełnych robactwa i zaduchu barakach na skraju wiosek. Warto jednak pamiętać, że jazda po Syberii najwspanialszym nawet powozem mogła przyprawić podróżnika o chorobę, a była co najmniej do cna wyczerpująca.

<sup>11</sup> Elżbieta Kaczyńska, *Syberia: największe więzienie świata (1815-1914)*, s. 143.

<sup>12</sup> Pojazd ten miał osie połączone sprężynującymi listwami co łagodziło wstrząsy. Dość obszerna, cała obita skórą buda chroniła przed deszczem i pozwalała na zabranie sporych pakunków.

Pan Zielonka zdradził nam także, że Godlewski zajmował w Pietrowsku jedną celę wraz z księżmi Józef Steckim<sup>13</sup> i Polikowskim<sup>14</sup>. Komendantem był tam wówczas kapitan Rozgieldejew, rodowity Sybirak, człowiek ponoć ludzki, prawy i nadzwyczaj honorowy<sup>15</sup>. Pracowali przy rozbijaniu rudy i transporcie żelaza, a za pracę otrzymywali 20 kopiejek dziennie. Pracy dla wszystkich nie starczało, więc ludzie majątniejsi po prostu do niej nie chodzili. Urządzono wspólną kasę, do której wszyscy składali połowę zarobionych pieniędzy. Ludzie zamożni zasilili tę kasę połową funduszów z jakimi przybyli do Pietrowska.

Nie można się było wymigać od pracy na rzecz więziennej społeczności i każdy musiał stawać do rąbania drewna na opał czy obierania ziemniaków: „było czemu się napatrzeć i naśmiać, jak nasi panowie, książęta, hrabiowie, prałaci itp. wyruszyli do pracy. Z początku, póki jeszcze u panów były rękawiczki, robota ta szła jeszcze jako tako, później wielu od tej roboty się ociągało, tym więc zanoszono do celek podwójną porcję do obierania”<sup>16</sup>.

Strażnikami więziennymi byli biedni buriaccy kozacy, którzy mieli niewielkie pojęcie o wojsku i często z wartowników przeistaczali się w posługaczy zesłańców. Katorżnik Edward Lemiszewski posunął się nawet do tego, że praktycznie objął komendę nad wartownikami i całymi dniami musztrował ich na więziennym podwórku. Podobno, pomimo różnic w przekonaniach, pochodzeniu i wykształceniu panowała w Pietrowsku nadzwyczajna zgoda pomiędzy więźniami. Gdy więc przyszło zarządzenie o przenosinach do Siwakowej, to wielu przyjęło to z żalem.

Aby w dalszej części opowieści nie zaprzętać uwagi czytelników sprawami urzędowymi, wyprzedzę nieco wypadki i już teraz poinformuję, że na podstawie rozporządzenia z kwietnia 1866 r. okres katorgi zmniejszono panu Wiktorowi o połowę, a na podstawie ogłoszonego kilka miesięcy później carskiego manifestu jeszcze o jedną czwartą<sup>17</sup>.

### BENEDYKT DYBOWSKI

W momencie wybuchu powstania prowadził w Szkole Głównej w Warszawie wykłady z zoologii i anatomii porównawczej. Był pierwszym polskim uczonym, który objaśniał studentom teorię ewolucji Darwina. Rozpolitykowanej młodzieży trudno było cokolwiek objaśnić, ale akurat ta teoria, z racji, że pod względem naukowym była rewolucyjną, to studentom dobrze się kojarzyła i na wykłady profesora ściągali tłumy. Znacznie gorzej było z frekwencją na pozostałych wykładach i choć profesor Ludwik Hirschfeld usiłował dotrzeć do wzburzonych umysłów, przekonując, że „ojczyzna dobra rzecz, ale i anatomia też”<sup>18</sup>, to sale wykładowe świeciły pustkami, a warszawskie ulice wręcz przeciwnie.

<sup>13</sup> Podczas powstania styczniowego wygłaszał w kościołach warszawskich patriotyczne kazania, w następstwie czego został osadzony w X Pawilonie Cytadeli. Skazany na 10 lat katorgi i pozbawienie praw stanu. W 1869, po skróceniu okresu katorgi na skutek amnestii, został skierowany na osiedlenie do wsi Tunka, gdzie utrzymywał się ze złotnictwa.

<sup>14</sup> Ludwik Jastrzębiec Zielonka, *Wspomnienia z Syberii od roku 1863-1869*, s. 38.

<sup>15</sup> Tamże, s. 38.

<sup>16</sup> Tamże, s. 42.

<sup>17</sup> G. A. Pietruchowa, dz. cyt.

<sup>18</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra Benedykta Dybowskiego od roku 1862 zacząwszy do roku 1878*, s. VII.

Dybowski jako komisarza Rządu Narodowego na Litwę i Białoruś, aresztowano w marcu 1864 r., czyli w momencie, gdy Godlewski wędrował już z Irkucka za Bajkał. Wstępnie także Dybowskiego zaliczono do drugiej grupy tych, którzy pragnęli zaszkodzić caratowi, ale w maju 1864 r. połączono śledztwo w sprawie pana Benedykta ze śledztwem przeciwko członkom Rządu Narodowego, a to już była kategoria pierwsza i prawie pewny wyrok śmierci. Tak też się stało, ale wyrok musiał jeszcze zatwierdzić namiestnik Teodor Berg, a ten wyrok uchylił. Istnieją ponoć podstawy, by sądzić, że w przypadku Dybowskiego, stało się tak skutkiem interwencji samego kanclerza Otto von Bismarcka, który zrobił to na prośbę kilku niemieckich uczonych. Ostatecznie Dybowski usłyszał wyrok, prawie że identyczny z tym Godlewskiego. czyli 12 lat katorgi i pozbawienie praw stanowych.

Godlewski podróżował zapewne znacznie mniej komfortowo, ale opowiem nieco o wędrowce Dybowskiego, gdyż słysząc „Syberia” i „zesłanie”, wiele osób wyobraża sobie warunki, w jakich odbywały się wywózki sowieckie. Syberyjska epopeja Dybowskiego rozpoczęła się 10 sierpnia na Dworcu Petersburskim w Warszawie, dokąd w grupie zesłańców przeszedł pieszo z Cytadeli. Na dworcu otrzymał pozwolenie, aby bez obecności konwojenta pożegnał się z rodziną i znajomymi. Dybowski otrzymał długi wyrok i trudno było oczekiwać jego rychłego powrotu, więc rodzina sprzedała większość jego mienia i przekazała zesłańcowi tak potrzebne w wędrowce pieniądze. Przekazaną kwotę znacznie powiększył rektor Szkoły Głównej, który polecił wypłacić Dybowskiemu gażę profesorską za miesiące spędzone w więzieniu. Dostał też nowe odzienie, a przede wszystkim rzeczy przydatne w pracy lekarza i badacza, w tym m.in: mikroskop, lupy, narzędzia chirurgiczne, apteczkę, kilka książek naukowych oraz wędkę do łowienia ryb. Widząc nobliwego, dobrze ubranego jegomościa, strażnik nie chciał wpuścić Dybowskiego do wagonu więziennego, a ten mógł swobodnie opuścić dworzec i zbiec, ale wiedział z jakimi konsekwencjami, może to się wiązać dla bliskich. Udał się więc do dowódcy konwoju z kategorycznym żądaniem wpuszczenia do wagonu.

Wagonem więziennym<sup>19</sup> dotarł do Petersburga, a na dłuższych postojach konwojujący przynosili więźniom z bufetów stacyjnych herbatę, kawę i wszelkie dania, pod warunkiem wniesienia stosownej opłaty. Każdemu z uwięzionych przysługiwało tzw. karmowe w wysokości 15 kopiejek dla szlachty i 10 dla ludu, ale starczało to tylko na podstawowe produkty. Podróż z Petersburga do Niżnego Nowogrodu odbywała się już w bardziej komfortowych warunkach, bo w wagonach drugiej klasy (klas w carskich pociągach były cztery), a konwojujący okazali się życzliwi i pozwalali wychodzić na postojach do stacyjnych bufetów. Bufetowi zaś nie mieli nic przeciwko zabieraniu serwisów herbacianych do następnych stacji. Serwisy były dosyć wykwintne, natomiast konwojenci nie całkiem uczciwi i plamiąc honor zesłańców, pokradli sporo łyżeczek.

Podróż kibitką okazała się torturą. Dybowski i jego towarzysze niedoli siedzieli na swoich rzeczach niczym „psy na płocie”<sup>20</sup>, trzymając się pod pachy, aby nie wypaść z powozu przy najechaniu na byle kamień, a wypadki takie zdarzały się często. Pędzono cwałem, wszędzie unosił się pył i po ukończeniu każdego dnia podróży wyglądali niczym nieboskie stworzenia.

<sup>19</sup> W wagonie takim, na jednej, postawionej pośrodku wagonu ławie, siedziało plecami do siebie ok. 60 więźniów. Pod ścianami siedzieli żołnierze z karabinami, a na końcach wagonu żandarmi z pistoletami gotowymi do strzału.

<sup>20</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 31.

Podróż odbywała się od jednego domu etapowego do następnego. Z Niżnego Nowogrodu do Tobolska etapów tych było ok. 100.

Przyjazd do Tobolska, gdzie rządy sprawował liberalny gubernator Despot Zenowicz, dawał większości zesłańców nadzieję, że zesłanie da się przeżyć. W mieście i w więzieniu urządzono warsztaty, które dostarczały więźniom wszelkich potrzebnych rzeczy. Szpital zorganizowano wzorowo, założono szkoły dla dzieci i dla więźniów analfabetów. Powstała biblioteka książek polskich, odbywały się odczyty i pogadanki. Wszyscy, bez względu na pochodzenie wyznaczani byli do prac przy obsłudze więzienia, a osoby chcące się od tych prac wymigać, musiały wyszukać zastępcę i uiścić opłatę. Przy pracach najcięższych, jak np. czyszczenie wychodków opłata wynosiła rubla dziennie. Poszukiwanie zastępców nie było jednak dobrze wśród więźniów widziane. System ten spodobał się chyba Dybowskiemu, skoro nazwał to „szkołą wychowawczą dla każdego”<sup>21</sup>, zwłaszcza że szkołę tę można było z łatwością opuścić i wyjść na miasto. Później Dybowski odkrył, że zamienników znajdowano nie tylko do prac jednodniowych. Tak np. skazany na katorgę, syn zamożnego warszawskiego kupca Józef Szlenkier, zamienił się dokumentami ze skazanym na osiedlenie Aleksandrem Korzonem<sup>22</sup>. Podobne praktyki Dybowski przyjmował z oburzeniem. Niestety, gdy pan Benedykt przebywał w Tobolsku, to Zenowicza akurat w mieście nie było. Pod nieobecność przełożonego rozzuchwaleni, zawiadujący więzieniem urzędnicy skradli Dybowskiemu 400 rubli. Później słał kilkakrotnie listy do gubernatora z prośbą o zwrot pieniędzy i w końcu całą sumę odzyskał.

Nie tylko Dybowski dosyć miał podróżowania kibitką, więc z dwoma innymi więźniami złożyli się po 70 rubli i zakupili tarantasa. Powóz był porządny, wręcz z pretensją do bycia nazywanym eleganckim, ale koła miały słabe i w drodze do Irkucka trzeba je było wymienić. Warto wspomnieć o diecie trzech przyjaciół w tej podróży. Posiadali pieniądze, a mięso można było łatwo i tanio nabyć w miasteczkach, a nawet i po wsiach, więc pan Muklanowicz<sup>23</sup>, mistrz w fachu kucharskim: kupił małą patelnię, zrobił zapas masła, słoniny, cebuli, pieprzu i przyrządził befsztyki „tak doskonałe, że i w najprzedniejszych restauracjach angielskich, lepszych nie było”<sup>24</sup>. A gdy befsztyki się przejadły, to pan Muklanowicz począł przyrządzać: zupy jarzynowe, gulasze węgierskie, bigosy hultajskie, zakąski tatarskie itp. Za szlacheckie karmowe też się można było wyżywić, gdyż pół kilograma mięsa kosztowało do 7 kopiejek, a kurczak 15. Gorzej było z karmowym dla nieprzywilejowanych, bo te zmieniało się w zależności od guberni. W guberniach europejskich wynosiło 10 kopiejek, ale w Tobolskiej 7, w tomskiej zaś 6, podczas gdy mały bochenek chleba razowego kosztował 4,5 kopiejki. Biedniejsi zesłańcy ratowali się zbieraniem kopiejek do wspólnej kasy i robieniem zakupów grupowych.

Nim dotarli do Irkucka, Dybowski wraz z przyjaciółmi kwaterowali w różnych miejscach, zwykle u wiejskich gospodarzy. Za więzienia najbrudniejsze i najgorzej zorganizowane zgodnie uznawano Tomsk i Krasnojarsk. Warunki w tych zakładach były tym bardziej uciążliwe, że korzystając z panującego rozgardiaszu, kryminaliści kradli na potęgę. W Irkucku

<sup>21</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 34.

<sup>22</sup> Tamże, s. 41.

<sup>23</sup> Chodzi najprawdopodobniej o Jana Muklanowicza, dzierżawcę apteki w Warszawie. W aptece tej zorganizowano centralny punkt spedycyjny powstańczej poczty.

<sup>24</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 37.



przydzielano zesłanych do różnych miejsc odbywania kary. Przy pewnych staraniach można było wystarać się o przydział do miejsca przez siebie wybranego. Większa część znajomych Dybowskiego optowała za wyjazdem do Ussola<sup>25</sup>, który cieszył się dobrą opinią pośród zesłanych i położony był blisko Irkucka. Inni wybierali opisany powyżej Pietrowsk na Zabajkału, w którym aktualnie poza Godlewskim przebywał jeszcze Alfons Parvex<sup>26</sup>, dobry znajomy pana Benedykta.

Pietrowsk jednak chwilowo nie przyjmował nowych więźniów, gdyż był przepełniony, a wręcz myślano o odesłaniu części tam osadzonych do innych zakładów. Ussol specjalnie Dybowskiego nie kusił, bo panowała tam ponoć nadpodaż znakomitych lekarzy. Ussol wprawdzie leżał w pobliżu Bajkału, co pozwalało na badanie tego jeziora, ale mieszkający w Irkucku przyrodnik i geograf Ryszard Maack, przekonywał polskiego badacza, że badać Bajkału nie warto, bo jezioro tak jest w faunę ubogie, że właściwie martwe. Zachęcał natomiast do badań nad mało jeszcze znaną fauną Zabajkala.

### SIWAKOWA

Koniec końców, doktor zdecydował się wyjechać do Siwakowej położonej za Bajkałem, nad rzeką Ingodą. Ingoda wraz z Ononem tworzyły rzekę Szyłkę, ta zaś po spotkaniu z wodami Argunu, formowała Amur. Była to duża i zamożna wioska, słynąca z wyrobu barż, czyli barek rzecznych, ale w wiosce funkcjonował także duży tartak parowy i kilka pomniejszych przedsiębiorstw. To całkiem nowe miejsce katorgi utworzono w związku z faktem, że okręg nerczyński pękał w szwach od napływających Polaków. Z opowiadań więźniów wynikało, że „nie jest im tam bardzo źle, ale też i nie dobrze”<sup>27</sup>.

Dybowski natychmiast wysłał do Godlewskiego i Parvexa wiadomość o następnym celu swej podróży. Miał nadzieję, że sprawdzą się pogłoski, iż to właśnie do Siwakowej zostanie przeniesiona część więźniów z Pietrowska, więc może się spotkają. Do Siwakowej przybyć miał także Aleksander Czekanowski. W Irkucku nastąpił czas pożegnań, a humory dopisywały, gdyż wszyscy byli przekonani, że rychło nastąpi amnestia i powrócą do kraju. Wyjątkiem był Dybowski, który oświadczył, że wracać nie zamierza, bo zadań badawczych ma przed sobą bez liku. W Irkucku otrzymał od Maacka kilka naukowych dzieł. Wszystkie przestudiował i doszedł do wniosku, że ogromne ilości wylawianych z Bajkału ryb, musiały przecież czymś się żywić, twierdzenia zaś autorytetów, że ryby żywią się łem, uznał za absurdalne. Gdy w drodze do Siwakowej przejeżdżał przez skute lodem jezioro, był pewien, że wkrótce tu powróci i odnajdzie moc stworzeń zamieszkujących te tajemnicze wody. Spośród najbliższych znajomych za towarzyszy podróży do Siwakowej miał Mariana Dubieckiego<sup>28</sup>, Stanisława

<sup>25</sup> Na katordze w Ussolu przebywał Piotr Derlatka, jeden z bohaterów innej mojej opowieści – 1863.

<sup>26</sup> Był synem Szwajcara i Polki. Przed powstaniem urzędnik w wytwórni papierów wartościowych w Jeziornej pod Warszawą. Dyrektor tychże zakładów miał sporą kolekcję ptaków, które wypychał biegly w tej sztuce Parvex. Taksydemii nauczył się pod okiem Władysława Taczanowskiego.

<sup>27</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 81.

<sup>28</sup> Historyk po Uniwersytecie Kijowskim. Po powstaniu poddawany bestialskim torturom, podczas których złamano mu m.in. szczękę, a głębokie blizny po biciu pozostały na zawsze na jego plecach. Nie gustował w wyprawach myśliwskich, a później opisał swoją wyprawę do klasztoru lamaistycznego.

Kietlińskiego<sup>29</sup> i Józefa Rybickiego<sup>30</sup>. Nocowali w zagrodach gospodarzy, a Dybowski chłonał opowieści o tamtejszej przyrodzie i obyczajach. W Siwakowej zastali tłum polskich zesłańców, a wśród nich i krewniaka Godlewskiego, młodzieńca o nazwisku Kuczyński. Większość więźniów mieszkała w starych opuszczonych koszarach. Na miejscu funkcjonowały już: kuchnia, piekarnia, pralnia, łaźnia, przychodnia, szkoła dla analfabetów i biblioteka, w której odbywały się odczyty. Potwierdziła się informacja o przeniesieniu więźniów z Pietrowska do Siwakowej. Rezydujący w Czycie gubernator Dittmar, szef zabajkalskich więzień był ponoć życzliwym względem Polaków, a jego mówiąca po polsku żona wręcz im przyjazna. Miejscowi zaś urzędnicy, na czele z majorem Zaborowskim cieszyli się podług wielu opinią znośnych. Inni jednak twierdzili, że Zaborowski to defraudant i złodziej, który okradał zesłańców z przesyłanych z kraju pieniędzy.

Byłe koszary, w których ulokowano więźniów, wyglądały solidnie, ale dawny znajomy Gerwazy Gzowski<sup>31</sup> radził, aby zakupić jedną z ziemianek, które zarząd pozwolił wykonać więźniom. Dybowski wahał się, co do wyboru miejsca zamieszkania, ale już pierwszej nocy. wyboru dokonały za niego niezliczone zastępy pluskiew, które przypuściły zmasowany atak na śpiących w koszarach i to pomimo zapalonych świec. Była jeszcze nadzieja, że pladze potrafi zapobiec „zamawiacz” pluskiew. Owym szamanem okazał się nasz rodak, który kręcił najpierw nożem koła w powietrzu, a później wbił ostrze w ścianę, szepcząc jakieś zaklęcia. Magia wystarczyła na jakieś pół godziny, a później pluskwy przystąpiły do wściekłego kontrataku, zmuszając do zmiany lokum nawet zamawiacza.

Zakupiona za kilkanaście rubli ziemianka, miała trzy metry długości i trzy szerokości, przy czym połowę przestrzeni zajmował piec. Ściany i sufit były bielone, a podłoga wykonana z ubitej gliny. Na standardowe umeblowanie składały się tylko trzy wąskie tapczany, ale byli właściciele dodali w ramach promocji rozmaite bonusy: zasłonkę drewnianą, miotłę do pieca i miotłę do izby oraz parę garnków. Drzwi były porządne, zamykane na kłódkę.

Na Syberii każdy prawie odkrywał w sobie nieoczekiwane talenty. Kietliński i Rybicki okazali się zręcznymi cieślami i stolarzami. Wystawili z przodu ziemianki dodatkową izdebkę, przeznaczoną na przeróżne rupiecie i sypialnię dla Rybickiego, a ponadto wzniesli zgrabną werandę, gdzie pito herbatę, spożywano posiłki i pracowano naukowo. Na wypadek gwałtownych deszczy otoczyli swą siedzibę fosami, postawili ogrodzenie, założyli ogródek i całkiem wygodnie zamieszkali. Rezydencja uzyskała miano najpiękniejszej w Siwakowej, a lustrujący zakład generał Busse nie krył swego podziwu.

<sup>29</sup> Prawnik po Uniwersytecie Charkowskim. Człowiek ponoć niezwyklej uczciwości i dobroci, ale słabego zdrowia. W Darasuniu pełnił obowiązki starosty zesłańców. Na Syberii nauczył się stolarki i ciesielki.

<sup>30</sup> Wiadomo tylko, że był młodym człowiekiem i należał do konspiracji warszawskiej. W drodze na zesłanie ciężko zachorował, a w szpitalu kompletnie go ograbiono. W Siwakowej nauczył się stolarstwa, a później w Darasuniu prowadził gospodarstwo rolne wraz z Książopolskim. Do kraju powrócił z gromadką dzieci, przeszedł granicę z Galicją i tam je wychowywał.

<sup>31</sup> Prawnik. Skazany na śmierć za działalność spiskową już w roku 1848. Wyrok zamieniono na 20 lat ciężkich robót w kopalniach nerczyńskich. Dzięki amnestii wrócił w roku 1859 na krótko do kraju, ale wkrótce za udział w powstaniu ponownie został zesłany na Syberię.

Wykonywane przez więźniów roboty podzielono na dwa rodzaje, a mianowicie społeczne i rządowe. Roboty społeczne prowadzono na rzecz zakładu i obejmowały: przywóz opału i wody w beczkach, palenie w kotłach piekarni i łaźni, prace porządkowe, zbieranie na łąkach dzikiego czosnku i dzikiej cebuli itp. Do prac rządowych należały głównie roboty: ciesielskie, stolarskie, ślusarskie i kowalskie. Wyznaczano do nich fachowców, ale można było zgłaszać się na ochotnika. Przynajmniej początkowo obowiązywała niewygórowana norma prac do wykonania, a jej przekroczenie nagradzano gotówką. Były też prace rządowe, które nie wymagały fachowej wiedzy, jak np. „darcie lin” czy skubanie tzw. konopatki służącej do uszczelniania barż.

Pomimo że normy były niewygórowane, to zdarzało się, że ktoś z różnych powodów normy nie wykonał, a ktoś inny uporał się z robotą przed czasem. Karą za niewykonanie zadanej roboty było zamknięcie na noc bez jadła w izolatce. Przez dłuższy czas nikt nie został ukarany, gdyż wszyscy sobie wzajemnie pomagali. Z biegiem czasu zesłańcy przeszczepiali jednak do Siwakowej, coraz więcej złych obyczajów rodem z ojczyzny. Powstawało coś, co Dybowski nazywał Rzeczpospolitą Siwakową – ci, którzy z pracą uporali się wcześniej, leżeli na trawie, a inni byli karani. Uciążliwości wielu z wykonywanych prac zmniejszył wnet po swym przybyciu Wiktor Godlewski. Wykorzystał na przykład zęby starej piły i skonstruował przyrząd, który znacznie ułatwił żmudne darcie lin.

Dybowski wraz z przybyłym nieco później swym dorpackim kolegą Leonem Dąbrowskim<sup>32</sup>, najbardziej lubili zbieranie czosnku i cebuli na łąkach. Do pracy zawsze zabierał siatkę na motyle. Zgłaszali się także na ochotnika do pracy w lesie. Po wykonaniu normy szli z konwojującym ich kozakiem na polowanie, a jeśli kozak nie miał na polowanie ochoty, to pożyczali od niego karabin. Wraz z Dąbrowskim przybył Czekanowski, tyle że wciąż wymizerowany i osłabiony po przebytych tyfusie. Dla Czekanowskiego przygotowano oddzielną izdebkę w domku wrychtowanym przez jego kijowskich kolegów. W szpitalu irkuckim okradziono chorego ze wszystkiego, więc bezzwłocznie urządzono składkę, a za zebrane pieniądze zakupiono dla uczonego bieliznę, odzież, obuwie i leki. Początkowo Czekanowskiego zwolniono z wszelkich robót, więc całymi dniami szlifował znaleziony gdzieś korek od karafki, ale bez sensu praca ta nie była, bo wyszła z korka całkiem niezła lupa. Po kilku tygodniach chadzał już z przyjaciółmi do lasu i na łąki, by razem zbierać okazy flory i fauny, a później je oznaczać, opisywać i preparować.

W końcu, do Siwakowej przybyli Godlewski i Parvex. Także oni chętnie najmowali się do pracy w lesie. W wolnych chwilach zbierali okazy ornitologiczne, a pan Wiktor popisywał się sztuką, której nauczyli go mazowieccy i podlascy bartnicy. Ze zręcznością linoskoczka wspinał się z pomocą liny na najwyższe drzewa. Przybywało ziemianek i domków, a obóz prezentował się niczym osada, którą więźniowie nazwali Małą Warszawą, podzieloną na Nowe i Stare Miasto. Główna alejka zwała się Krakowskim Przedmieściem, boczne zaś uliczki Senatorską, Miodową itd. Ludwik Lewiński urządził przy tymże syberyjskim Krakowskim Przedmieściu teatr. Pisał Dybowski: „Życie nasze w więzieniu Siwakowskim płynęłoby dla nas znośnie tak,

<sup>32</sup> W Dorpacie ukończył wydział historyczno-filologiczny. W momencie wybuchu powstania był nauczycielem geografii w kalwińskim gimnazjum w Słucku.

jak w Ussolu pod Irkuckiem, gdyby nie waśnie partyjne, nie wichronośne majaczenia niedowarzonych umysłów i gdyby nie wódka”<sup>33</sup>.

Wraz z napływającymi nowymi partiami więźniów rozrastała się Rzeczpospolita Siwakowa. Przybywało intryg i koterii, partii i partyjek, pojawiły się donosy. Urządzano regularne sejmiki i wygłaszano niedorzeczne mowy. Atmosfera stawała się nieznośna, więc Dybowski wraz z Godlewskim, Parvexem i Czekanowskim poczęli poważnie myśleć o przenosinach w inne miejsce. Decyzja zapadła po przybyciu wywołującego niepokoję Ludwika Żychlińskiego, którego Dybowski określał mianem półwariata, donosiciela i krańcowym przypadkiem zwyrodnienia moralnego.

#### CZYTA

Przeniesienie można było załatwić tylko w Czycie, a że w Siwakowej zdarzały się przypadki szkorbutu, to Dybowski wystarał się o pozwolenie na wyjazd w celu konsultacji z dr. Onufrym Jakowlewiczem Dubińskim. Ten prawosławny kolega Dybowskiego z mińskiego gimnazjum, był lekarzem w szpitalu wojskowym w Czycie, miścinie wyjątkowo nieciekawej, nawet jak na syberyjskie stosunki. Miński kolega sprawiał przygnębiające wrażenie: smutny, postarzały, zmęczony, blade. Dla przełamania lodów Dybowski w skrócie przedstawił swoje pogimnazjalne życie: studia w Dorpacie; prace na złoty medal; relegowanie ze studiów za sekundowanie przy pojedynku swego krajana z Mińszczyzny; studia we Wrocławiu, a później w Berlinie; uzyskanie w stolicy Prus stopnia doktora medycyny i chirurgii; powrót do Dorpatu, celem nostryfikacji dyplomu na obszar imperium rosyjskiego; powołanie na katedrę do Krakowa, a później objęcie posady wykładowcy w Szkole Głównej w Warszawie; aresztowanie; sąd i wyrok.

Dubiński pozostawał obojętny i nie sprawiał wrażenia człowieka, który w czymkolwiek mógłby pomóc. Iskierka nadziei rozbłysła, dopiero gdy Dubiński zdradził, iż z Irkucka nadeszły listy do Dittmara, w których władze polecały Dybowskiego opiece gubernatora. Jakby tego było mało, to adiutantem gubernatora Dittmara okazał się kapitan Bronisław Sławiński – daleki to daleki, może i dziesiąta woda po kisielu, ale jednak familiant Dybowskiego. Krewniak podzielił się w sekrecie informacją, że właśnie zatwierdzono nowe projekty zatrudnienia więźniów politycznych Zabajkala. Dybowskiemu od razu spodobał się projekt wybudowania siłami więźniów zakładu kąpielowego na wodach mineralnych w dolinie Darasunia, około wpadającej do Ingody, rzeki Tury. Okolica miała być piękna i cieszyć się opinią zdrowej. Robót przymusowych miało tam nie być, a każdy, kto wybuduje domek, będzie go mógł w lecie wynajmować kuracjom. Ci więźniowie, którzy chcieliby parać się rolnictwem, będą mogli, zając stosowny kawałek ziemi i pozostać tam na stałe, jako zaliczeni w poczet obywateli wsi zabajkalskich. Nic dziwnego, że nie pytając kolegów o zdanie, Dybowski wyraził gotowość natychmiastowego wyjazdu do Darasunia wraz z trzema przyjaciółmi i ewentualnie z Mikołajem Hartungiem<sup>34</sup>. Rokowania były jak najlepsze, tym bardziej że po Czycie rozeszła

<sup>33</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 92.

<sup>34</sup> Przyrodnik i chemik po studiach na Uniwersytecie Kijowskim. Skazany na 10 lat ciężkich robót, początkowo przy budowie drogi bajkalskiej. Pasjonat przyrody. Prowadził dla zesłańców wykłady, gromadził zbiory entomologiczne i zielniki. Niestety większa część tych zbiorów spłonęła podczas wielkiego pożaru Irkucka. Uczestniczył w

się wieść, iż do miasta przyjechał dr medycyny po Berlinie i Dorpacie, a jedną z pierwszych pacjentek pana Benedykta była córka przyjaciółki pani gubernatorowej.

Parvex poza talentem do buchalterii i wypychania ptaków, odkrył na Syberii jeszcze jeden. Mianowicie Stanisław Wroński<sup>35</sup> nauczył go w Pietrowsku malowania akwarel. Namalował więc w Siwakowej kolekcję pięknych pejzaży, a Godlewski wykonał gustowne ramy i oprawił obrazy w szkło. Mieli nadzieję na spieniężenie tych dzieł sztuki w Czycie. Z obrazami oraz w towarzystwie konwojenta i kilkudziesięciu wypchanych zwierząt ruszyli z Siwakowej do Czyty. Tam, naczelnik żandarmów pułkownik Markow oświadczył, że Aleksandra Romanowna poleciła otoczyć ich specjalną opieką, więc naczelnik umieścił przyjaciół nie w więzieniu przejściowym, ale w schludnej izdebce na odwachu z możliwością swobodnego wychodzenia na miasto. Rozkazał też podwładnym, by przybyłych szanowali i wykonywali ich polecenia. W Czycie musieli zatrzymać się na dłużej, bo pod ostateczną decyzją o rozpoczęciu projektu budowy uzdrowiska, musiał jeszcze złożyć podpis generał-gubernator Korsakow, a ten przebywał z roboczą wizytą nad Amurem. Trzeba wyjaśnić, skąd ta wyjątkowa życzliwość Aleksandry Romanowny dla Polaków. Otóż, poza tym, że była osobą serdeczną, szczerą i czułą na niedolę innych, to siostra jej rodzona wyszła za Polaka, który także został zesłany na Sybir.

Na odwachu miejsca było mało, więc obrazy i wypchane zwierzaki zanieśli do gubernatorowej z nadzieją, że będzie to załączek miejscowego muzeum i uzyskają za swe eksponaty kilkaset rubli. Niestety, podczas rozmowy z Dybowskim, Aleksandra Romanowna wyznała, że z braku środków o żadnych muzeach mowy być nie może. By nie rozczarować kolegów, Dybowski zapytał ich, na ile wyceniają swe dzieła, a gdy usłyszał, że na 50 rubli, to oświadczył, że dokładnie tyle uzyskał i wyłożył tę kwotę z własnej kieszeni.

Doktor, owiany już legendą cudotwórcy, wciąż odwiedzał chorych, a do szalonego wzrostu jego popularności, mógł się przyczynić fakt, że wszędzie już wiadano, iż leczył za darmo. Jeżeli ktoś jeszcze wątpił w geniusz medyczny doktora, to przestał być niedowiarkiem, gdy gubernatorowa poprosiła Dybowskiego, aby zajął się cierpiącą na tajemniczą chorobę oczu, córką najbogatszego kupca Zabajkała. Ściągani zewsząd medycy nijak nie mogli dopomóc, a dzięki Dybowskiemu, dziewczynka powoli wracała do zdrowia. Sława doktora rosła, tyle że jego kieszenie nie zapełniały się rublami, lecz biletami wizytowymi ważnych i mniej ważnych person. Wizytówki te mogły jednak w przyszłości przynieść więcej korzyści niż gotówka.

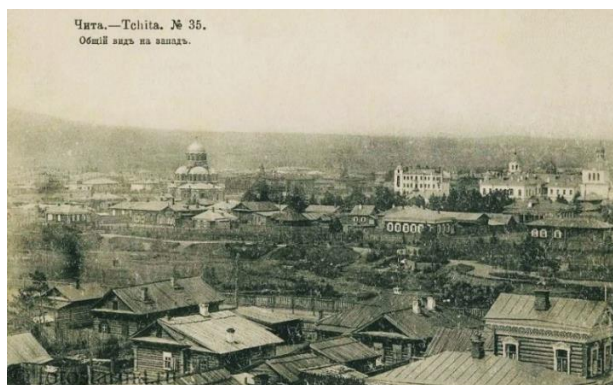
Godlewskiemu, Parvexowi i Czekanowskiemu za rozrywkę służyły rozmowy z mieszkańcami Czyty. Syberia, podobnie jak i inne kresy świata, obfitowała w niezwykłych wprost oryginałów, a losy wielu z tych ekscentryków mogłyby posłużyć za scenariusz filmowy. Nasz tytułowy bohater jako entuzjasta technicznych nowinek znalazł w miejscowych

---

wyprawach Czekanowskiego i Czerskiego. W Irkucku założył wytwórnię wód gazowanych. Dybowski namawiał go do wspólnego wyjazdu na Kamczatkę, ale na przeszkodzie stanęła choroba.

<sup>35</sup> Wspecjalizowany w pejzażach student Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Z zapalem przystąpił do powstania i własnym kosztem się wyekwipował, ale ze względu na wadę wzroku, pożytek na polu walki był z niego niewielki. Zajął się więc wożeniem powstańczej poczty. Początkowo karę katorgi odbywał w Pietrowsku. Większość czasu na zesłaniu spędził w Irkucku, ale że świeżo upieczeni milionerzy nie gustowali w pejzażach, lecz we wzorowanych na pełnych złocen imperatorskich portretach, to skoncentrował się właśnie na malowaniu portretów i scenografii dla teatrów.

mieszkaniach istną wprost wystawę wytworów amerykańskiego przemysłu. Zabajkale było bowiem obszarem wolnym od cła, więc zamożne domy urządzano z przepychem na amerykańską modłę. Zza oceanu sprowadzano prawie wszystko: pojazdy, meble, zastawy stołowe. Z wielką ciekawością oglądał choćby automatyczną kołyskę, napędzaną sprężyną niczym zegarek. Strefa wolnocłowa bywała także przyczyną kłopotów. Kupcy rosyjscy wysyłając na te kresy imperium choćby łódzkie wyroby, zwykli je opatrywać metkami domów mody z Londynu, Paryża czy Wiednia. Czasami wracano z niesprzedanym towarem, a niedoświadczony, nieznający lokalnych stosunków handlowiec musiał na komorach celnych nad Bajkałem płacić cło za swe zachodnioeuropejskie, markowe wyroby.



Ilustracja 1. Stara Czyta.

Źródło: fotostarrina.ru.

Pod koniec pobytu w stolicy Zabajkala, Dybowskiego poprosiła o spotkanie miejscowa akuszerka. Ta bardzo piękna i inteligentna kobieta, studiowała w Petersburgu ginekologię, a później wyjechała wraz z mężem na Syberię. Mąż zmarł, a ona praktykowała sama, wciąż się dokształcając i prenumerując liczne medyczne pisma. Teraz ogłosiła radosną nowinę, że pacjenci doktora postanowili gremialnie odwdzińczyć się za leczenie i zebrali całkiem sporą sumę na zagospodarowanie się zesłańców w Darasuniu. Przyjęcie podarku przeczyło wprawdzie zasadom wyznawanym przez Dybowskiego, ale odmowa mogła być poczytana za przejaw niezadowolenia z formy i wielkości prezentu. Zadecydowała proza życia, bo zasoby finansowe przyjaciele posiadali skromniutkie, a środki, jakich potrzebowali na zagospodarowanie i prowadzenie badań, były znaczne. Kupili już wprawdzie dwie tulskie fuzje jednorurki, ale lista zakupów wciąż była długa. W tej sytuacji to, co otrzymali od wdzięcznych i hojnych mieszkańców Czyty, było wręcz darem niebios. Poza 200 rublami w gotówce była tam jeszcze ogromna ilość rzeczy i to wybranych w sposób starannie przemyślany. Same kostki sprasowanej herbaty warte były jakieś 50 rubli, a herbata służyła na Syberii nie tylko do sporządzania napoju, ale także jako środek płatniczy w transakcjach z autochtonami. Zajmowali się właśnie przeglądaniem tych wszystkich wspaniałości, gdy odwiedził ich Iwan Jakimowicz Zaborowski, przyszły ich naczelnik w Darasuniu (komendant w Siwakowej też nazywał się Zaborowski, ale była to inna osoba). Wydawał się człowiekiem miłym, obejrzał tulskie jednorurki i orzekł, że są nic niewarte i obiecał wymienić je na porządne dubeltówki. Okolice Darasunia miała być pełna zwierzyny, więc dokupili jeszcze jedną fuzję i weszli w posiadanie trzech szczeniaków psów myśliwskich. Godlewski odnalazł w mieście stos klatek, pozostałych po jakimś Niemcu, który jeździł po Syberii ze swoją menażerią. Pan Wiktor poprzerał klatki,

dorobił zatrzaski i tym sposobem wzbogacili się o kolejne przedmioty, niezbędne przy gromadzeniu zbiorów ornitologicznych. Natomiast pan Dubiński, choć człowiek pozornie chłodny, to pomógł Dybowskiemu w zgromadzeniu wszelkich instrumentów i leków niezbędnych w pracy lekarza zakładu kąpielowego w Darasuniu. Liczba zgromadzonych bagaży była już ogromna, a jeszcze kozak Siliński, któremu Dybowski wyleczył dzieci, wystarał się o dwa siodła i wszelki inny koński rynsztunek za marne 40 rubli, czyli za mniej niż połowę rynkowej ceny. To jeszcze nie koniec, bo kapitan Sławiński z tej racji, że otrzymał rozkaz przenosin do Kraju Amurskiego, podarował im swoje meble. Radosną atmosferę przytłumiło nieco oświadczenie Czekanowskiego, że zdobytych okazów nie zamierza wysyłać do Warszawy, lecz do Petersburga. Był to początek powolnego ochłodzenia stosunków pomiędzy Czekanowskim i pozostałą trójką.

Tamtego lata 1866 r. zezwolenie na przenosiny do Darasunia otrzymały jeszcze 33 osoby spośród osadzonych w Siwakowej, a spośród nich: Dubiecki, Kietliński, Rybicki i Wroński.

### DARASUŃ

Z Czyty wyruszyła istna karawana i choć droga prowadziła przez góry, a przed każdym wzniesieniem trzeba było z wozu zsiadać, to nastroje były doskonałe i tylko Czekanowski pozostawał apatyczny i ponury. Po drodze spotkali pułkownika Buxhoevdena, Niemca bałtyckiego, naczelnego atamana konnych kozaków zabajkalskich, człowieka wielce światłego i wykształconego. U bałtyckich krewnych pułkownika, Czekanowski bywał częstym gościem. Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze, a zawarta znajomość okaże się cenną w przyszłości.

W momencie ich przybycia, na całe uzdrowisko składały się trzy domy mieszkalne, spośród których największy był przeznaczony dla czwórki przyjaciół i komendanta. Było też tam kilka budynków gospodarczych mieszczących: stajnię, oborę, wozownię, składzik na rupiecie, kuchnię, pralnię i piekarnię, mieszkanie dla służby i drugie dla dwóch kozaków z rodzinami. Nad jednym ze źródeł stała skromna łaźnia z altanką. To ta właśnie altana, czy raczej szopa, zwana była górnolotnie zakładem kąpielowym. Teoretycznie kozacy mieli pilnować przybyłych Polaków, a w praktyce otrzymali polecenie, by służyć im wszelką pomocą. Pożytek z kozaków był jednak niewielki, gdyż obaj okazali się nałogowymi pijanicami. Dla przybyłych w to miejsce Polaków kończył się praktycznie czas katorgi, bo przecież prac przymusowych tu nie było, choć przyznać trzeba, że i rzeczywistość w Siwakowej znacznie odbiegała od tego, co zwykle sobie wyobrażamy, słysząc słowo katorga.

Okolica była rzeczywiście piękna, a rozrzucone wokół wioski zasiedlali głównie potomkowie Polaków i Białorusinów wysiedlonych ze Smoleńszczyzny jeszcze za panowania Katarzyny II. Niewielu jednak z nich pamiętało o swych korzeniach. Dookoła znajdowały się też buriackie koczowiska, a przy nich pasły się stada bydła i wielbłądów. Najbliższa od zakładu kąpielowego wioska oddalona była zaledwie o wiorstę<sup>36</sup>, nosiła nazwę Darasuń i liczyła 6 gospodarstw. Dużą, dosyć zamożną wieś Balzynę dzieliło od przyszłego uzdrowiska ok. 20 wiorst. Była to jednocześnie siedziba urzędu gminnego.

---

<sup>36</sup> 1 wiorsta to 1,0668 km.

Okazało się, że wieść o czyniącym cuda polskim lekarzu, dotarła i tutaj. Ledwie przybyli, a zjawił się Nikołaj Michajłowicz Timofiejew, mieszkaniec Balzyny i najbogatszy w okolicy włościanin, z prośbą o pomoc dla chorego ojca. Chory, niegdyś także został wysiedlony z ziemi smoleńskiej, a że dobrze pamiętał, iż na Syberię przybył jeszcze za panowania wspomnianej wyżej imperatorowej, to musiał mieć lat z górą sto. Żegnał się ów staruszek wciąż po katolicku. Rodzina pogodziła już się z odejściem seniora rodu w zaświaty, więc wezwała rozmiłowanego w trunkach popa. Dybowski przywrócił matuzalemowi zdrowie, pop odjechał, a lampki pod obrazami świętych przygaszono. Staruszek zmarł podobno w roku 1876, czyli jak później starannie porachowano w 125 roku życia.

W nagrodę za ocalenie ojca Timofiejew podarował Polakom cztery konie. Godlewskiemu przypadł koń siwy, tresowany do wyławiania koni z tabunów, rzecz więc można, że był to koń wyścigowy. Za konia trzeba było wówczas zapłacić w tamtych okolicach od 20 do 50 rubli – koń Godlewskiego był tym z wyższej półki. Nowy właściciel szybko przyuczył swego rumaka do huku wystrzałów i koń stał się towarzyszem jego myśliwskich wypraw. Bogacz przysłał wraz z końmi wóz z prowiantem, którego mogło starczyć nawet na miesiąc dostatniego życia dla przyjaciół, komendanta, kozaków z rodzinami i kucharki.

Mając za pomocników kozaków, Godlewski natychmiast przystąpił do budowy zagrody dla koni. Radość z podarunków była ogromna i tylko Czekanowski pozostawał markotny, sprawiając wrażenie chorego. Po jakimś czasie, komendant Zaborowski wybrał się do Czyty, a zarząd nad obozowiskiem, a w tym i nad strażnikami pozostawił panu Wiktorowi, w którym w mig rozpoznał sprawnego organizatora. Wszystkich korciło, by poznać okolicę, więc Godlewski zdał komendę na rzecz niedomagającego Czekanowskiego i trójka przyjaciół wyruszyła na kilkudniową wyprawę. Ważne było też wypróbowanie koni i poznanie ich zwyczajów, gdyż pochodzące z tabunów rumaki miały swoje dziwactwa – np. nie jadły owsa i nie dawały się podkuć. Przyjaciele spróbowali nawet jednego z koni podkuć, ale ten wierzgał, bił i ryczał jak szaleniec, więc szybko się poddali.

Podczas wyprawy zdobyli kilka cennych okazów i wstąpili do Timofiejewa. Dybowski poszedł do chorych, bawidamek Parvex konwersował z córkami gospodarza, a Godlewski z ciekawością oglądał liczne maszyny rolnicze. Niektóre były niesprawne, więc pan Wiktor zaproponował, że nie tylko je zreperuje, ale i udoskonalą. Gdy zaś pożalił się Timofiejew, że niektóre maszyny trudno na ten kraniec świata sprowadzić, to nasz rodak zaoferował się, że sam je skonstruuje, byleby sprowadzano z Irkucka trochę niezbędnych części. Części sprowadzono, Godlewski z pomocą kowala Filemona maszyny pobudował i zyskał pośród miejscowej ludności miano złotorękiego. Wialnia jego konstrukcji zyskała taką popularność, że na jej wzór wykonywano kolejne.

Zebrano pierwsze cenne okazy z myślą o wysyłce do Warszawy. Po powrocie odwiedził ich proboszcz czytyński Pawłowski, który wybrał się na objazd wiosek i stanic, zamieszkanym przez jego parafian. Na parafian składali się głównie więźniowie niepolityczni tzw. *posieleńcy* (przymusowo osiedleni), znajdujący zatrudnienie w kopalniach złota. Życie tam proboszcz streścił w kilku słowach: pijaństwo, rozpusta, hazard, złodziejstwo. Była też grupa zesłańców politycznych, spośród których warto wymienić Karola Erłuckiego, jednego z licznych



zesłanych na Syberię powstańców kościuszkowskich. Ów pan Karol mało, że żył wciąż, to trzymał się ponoć krzepko, płynnie mówił po polsku, a lat musiał mieć podług proboszcza przynajmniej sto. W odświętnie przystrojonym pokoju Godlewskiego ksiądz Pawłowski odprawił nabożeństwo, a Dybowski, choć wolnomyśliciel, to nie protestował.

Później odwiedzili Erluckiego w jego domu w wiosce Karłuck. Rzeczywiście trzymał się krzepko, a jego małżonka nieco mniej, może z tego względu, że zdaniem Dybowskiego wyglądała na amatorkę gorzałki. Trzeba w tym momencie nadmienić, że według pana Benedykta wszyscy prawie Rosjanie i Sybiracy byli alkoholikami, a jako nieprzejednany wróg alkoholu wykształcił w sobie osobliwy zwyczaj, że patrząc na nowo poznanego człowieka, zawsze szukał w nim oznak alkoholizmu: charakterystycznego układu ust, mętnego wzroku, urywanej mowy itd. Dybowski nigdy nie był amatorem mocnych trunków, a ich nieprzejednanym wrogiem stał się na samym początku studiów na Uniwersytecie w Dorpacie, zwanym także „Heidelbergiem północy”. Podobnie jak w Heidelbergu wykładowcami, na tej skądinąd prześwietnej uczelni byli z małymi wyjątkami Niemcy. Niemieckie były także brutalne studenckie obyczaje. Od nowoprzyjętych studentów wymagano zorganizowania istnych bachanalii, podczas których nawet zatwardziały abstynentów spijano na umór. Również Dybowski został zmuszony do ufundowania podobnej pijackiej orgii, a że od picia chciał się wymigać, to spóźnił się znacznie na własną imprezę. Nic to nie dało, bo starzy studenci podobne wybiegi doskonale znali, więc wiano w Dybowskiego więcej alkoholu, niż to zwykle bywało, a świeżo upieczony student omal nie przypłacił tych otrzęsin życiem.

Poza domem Timofiejewa często odwiedzali gospodarstwo Wasilija Michajłowicza Szczegłowa. Był on wnukiem Tomofiejewa i mieszkał w stancy Kirpicznej. Dom był niewielki, bo zaledwie dwuizbowy, a tę drugą, podzieloną na dwa pokoje, przeznaczano dla gości i wielokrotnie służyła przyjaciom za kwaterę. Dom wprawdzie nie był okazały, ale wokół pełno było utrzymywanych w niezwykłym porządku zabudowań gospodarczych, a całość przypominała fort. W latach urodzajnych ceny zbóż nie pokrywały płac robotników najętych do żniw, więc spichrze musiały być obszerne, bo Szczegłowowie czekali ze sprzedażą zbiorów na lata nieurodzajne. Dybowski już po kilku spojrzeniach i słowach autorytatywnie stwierdził, że gospodarze nie pili, co jak już wiemy, było na Syberii rzadkością. Upić się potajemnie lubiła natomiast babka, której wódkę za sowitą opłatą znosiły kumoszki. W domu Wasilija Michajłowicza czuli się przyjaciele niczym pośród rodziny.

Pierwszą zimę spędzali w Darasuniu już w większym towarzystwie. Nadeszły nowe partie zesłańców, wśród których znalazł się Stanisław Wroński i Leon Dąbrowski. Czekanowski, z którym stosunki układały się coraz gorzej, przeniósł się w końcu do domu zajętego przez Dąbrowskiego. Ten ostatni zdawał się nie dostrzegać humorów Czekanowskiego, bo świata prawie nie widział poza suchką Wisłą. Wisłę wychował na wspaniałego, zdumiewającego wszystkich zmyślnością zwierzaka.

Święta przebiegały w radosnej atmosferze. Okazało się, że pozostawione w Czycie akwarele udało się Aleksandrze Romanownie sprzedać za 100 rubli. Także pułkownik Buxhoevden przysłał podarki dla czwórki zesłańców. Obdarowani poczęli pospiesznie rozpakowywać sporych rozmiarów paki, a to, co tam znaleźli, przekroczyło wszelkie oczekiwania. Był to

rodzaj myśliwskiego arsenału, na który składały się: piękna, cenna dubeltówka z gwintowanymi lufami; prochownice; śrutownice; torby i siatki; szczotki; solidny namiot. Godlewskiemu rozbłysły oczy na widok przeróżnych form do lania kul i granulek, śrubokrętów, pilników. Wszystko to stanowiło mały rusznikarski warsztat. To jednak tylko część myśliwskich wspaniałości nadesłanych przez pułkownika. Skromnie licząc, to wartość tych wszystkich przedmiotów wynosiła kilkaset rubli. Nie zapomnieli o nich także znajomi z Czyty i nadesłali wielkie ilości tytoniu, pieczywa, ryb suszonych, boczku wędzonego, że wymienię tylko niektóre z nadesłanych delikatesów. Przyjaciele zgodnie podsumowali: „Wszak żaden z naszych magnatów nie zdobyłby się na taki podarek”<sup>37</sup>. Przykro im tylko było, że nie mogli się niczym odwdziżyć.



Ilustracja 2. Alfons Parvex<sup>38</sup>.

Po świętach, Parvex namówił Timofiejewa, by ten oddał swych synów jemu na naukę. Timofiejew, poza synami przywiózł jeszcze na płozach, rozłożony na części mały domek, który zmontował i powiększył Godlewski. Wspólnie zamieszkali w nim: Godlewski, Parvex i dwójka uczniów. Dybowski zamieszkał wraz z Marianem Dubieckim i Stanisławem Kietlińskim, w estetycznym domku wybudowanym przez tego ostatniego.

Godlewski mianował sam siebie naczelnym architektem Darasunia i był w swym żywiole: projektował, nadzorował, organizował, budował. Nakreślił ambitne plany i wysłał je do Czyty z uwagą, że oczekuje zapłaty należnej architektowi. Dybowski słuchał o planach przyjaciela w milczeniu, przekonany, że te architektoniczne i budowlane wzmoczenie przyjaciela, odbije się negatywnie na jego pracy naukowej. Mile się rozczarował, bo pomimo nawału zajęć, nie zaniedbywał pan Wiktor swej pracy badawczej. Uspokojony Dybowski pisał o przyjacielu z uznaniem:

Można o nim śmiało powiedzieć, że był to geniusz w zakresie techniki, architektury, rzeźby itd. W Darasuniu stawiał domy, budował piece, kominki, szył bieliznę, odzież, obuwie, znał się na ogrodnictwie, na uprawie roli, w ogóle na wszystkim, a wszakże był samoukiem. Nauczał towarzyszy więziennych różnych rzemiosł, jemu zawdzięczał: Roguski i Wiśniewski, że się nauczyli

<sup>37</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 224.

<sup>38</sup> Fotografia z tamże.

budowy pieców rozmaitych typów; po powrocie do Irkucka, stali się zawodowymi „piecznikami” zdunami w mieście i zarabiali duże sumy. Innych nauczył krycia dachów: dranicami, gontami, deskami i blachą. Był w potrzebie blacharzem, stolarzem, kowalem itd.<sup>39</sup>

Jeszcze bardziej niepokoił się Dybowski o Parvexa, w którego pokoju dostrzegł butelkę po wódce *Piotr Pierwyj* i święcie był przekonany, że także ten przyjaciel porzuci naukę, ale nie dla twórczej pracy, lecz by pogрузić się w odmętach nałogu. Parvex rzeczywiście coraz mniej znajdował czasu na badania i myśliwskie wyprawy, ale przyczyną nie była gorzałka, lecz belferka. Prawie cały czas poświęcał dwójce swych studentów.



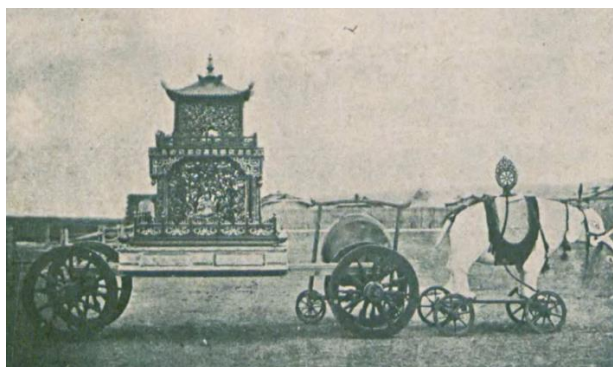
Ilustracja 3. Domek, w którym w Darasuniu mieszkali Stanisław Kietliński, Marian Dubiecki oraz Benedykt Dybowski<sup>40</sup>.

Godlewski, Dąbrowski i Dybowski nieprzerwanie odbywali wycieczki po górach. Pan Wiktor korzystał ze znakomitej dubeltówki podarowanej przez Buxhoevdena, a że strzelcem był wyborowym, to darasuńscy myśliwi nazwali jego nazwiskiem pewną nieodległą przełęcz. Podobnie jak Dąbrowski także i on nie rozstawał się ze swym psem, wabiącym się Dunaj. Niestety, z Dunajem wiąże się przykra historia. Kilka lat później, uwiązany chwilowo pies, nagle zaczął rzucać się na ludzi. Gdy Godlewski zbliżył się do pupila, ten rzucił się na niego i dotkliwie pogryzł. Dunaj bywał złośliwy, więc pan Wiktor był przekonany, że ten napad złości, spowodowany został wzięciem psa na łańcuch. Okazało się jednak, że pies był wściekły. Dybowski wypalił Godlewskiemu wszystkie rany rozpalonym żelazem, po czym posmarował rany maścią własnego pomysłu, a dodatkowo podawał chininę. Minie jeszcze wiele lat, zanim Ludwik Pasteur opracuje zastrzyk przeciwko wścieklicznie i mało kto z pogryzionych uchronił wówczas kostusze, ale w przypadku Godlewskiego kuracja okazała się skuteczna.

<sup>39</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 231.

<sup>40</sup> Ilustracja z książki: Gabriel Brzęk, *Benedykt Dybowski*.

Cały czas napotykali na swej drodze Buriatów. Godlewski głównie z racji kontaktów z buriackimi myśliwymi, a Dybowski, ponieważ leczył buriackich chorych. Autochtoni przychodzili z bardziej i mniej ważnymi problemami zdrowotnymi. Tak na przykład jeden umyślił sobie, aby znaleźć drugą, znacznie młodszą żonę. Gdzieś usłyszał o „szpańskich muszkach”, cudownym środku na odzyskanie młodzieńczego wigoru. Nachodził więc Dybowskiego, aby ten mu ów sławny specyfik sprowadził lub przyrządził. Obaj przyjaciele z zainteresowaniem przypatrywali się buriackim zwyczajom. Szczególnie Dybowskiemu nie wszystkie przypadły do gustu, zwłaszcza gdy wiązały się z pijaństwem – choćby zwyczaj upijania kandydata na męża. Chcąc poznać prawdziwy charakter przyszłego zięcia, rodzice kandydatki na pannę młodą, musieli spoić jej wybranka na umór. Jeżeli kawaler bronił się i upić się nie dawał, to był to jasny znak, iż to człowiek zły, zamążpójścia niewart. Na jeden ze zwyczajów Dybowski zareagował wręcz oburzeniem. Buriaci porzucali swych zmarłych na stepie, zostawiając ciała na pastwę zwierzyny. Bardziej jednak niż porzucanie ciał, oburzała doktora wysokość rujnujących rodziny zmarłego opłat, których pazerni szamani i lamowie żądali za odprawiane nad zwłokami obrzędy. Złożył nawet na ręce gubernatora Dittmara memoriał w sprawie grzebania zmarłych na ogrodzonych cmentarzach i położenia kresu powyższemu zdzierstwu.



Ilustracja 4. Powóz modlitewny z białym świętym koniem Buriatów z Zabajkala<sup>41</sup>.

Do pierwszej wiosennej wyprawy roku 1867, dołączył poszukujący pokładów złotoносnych komendant Zaborowski z dwójką kozaków. Wyprawa wyruszyła radośnie ku górą, lecz już na pierwszym noclegu przybyło kilku kozaków, a ich dowódca odczytał komendantowi jakąś urzędową bumagę. Zaborowski wysłuchał wszystkiego z wyraźnym przestachem i nakazał powrót do Darasunia. Tutaj czekał rozkaz, aby Polaków skuć w kajdany, odebrać im wszelką broń, zrewidować ich miejsca zamieszkania i nie pozwalać opuszczać Darasunia, aż do nadejścia kolejnych instrukcji. Kajdany rdzewiały w składziku, rewizji nie zrobiono, Zaborowski zaś tylko prosił, aby przyjaciele meldowali o każdej swej ekspedycji w góry, a po powrocie deponowali fuzje w jego mieszkaniu. Dni mijały i wszystko wracało do poprzedniego trybu. Powyższe wydarzenia miały związek z represjami po powstaniu zabajkalskim<sup>42</sup>.

<sup>41</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*

<sup>42</sup> Pośród niektórych zesłańców powstał zamiysł zorganizowania na Syberii powstania. To właśnie te idee określił Dybowski jako „wichronosne marzenia niedowarzonych umysłów”. W czerwcu 1866 r. grupa Polaków budujących drogę w okolicach Kułtuka rozbroiła konwojentów. Do podobnych wystąpień doszło w kilku innych

Godlewski migiem sprawił się z robotą przy budynkach zakładu kąpielowego i już pierwszego lata zjechała do Darasunia liczna grupa gości, przede wszystkim pań z dziećmi. Jak to zazwyczaj w kurortach bywa, ludzi na serio chorych pośród nich nie było, więc i kąpiele zdrowotne specjalnym powodzeniem się nie cieszyły, za to namiętnie oddawano się wszelkim innym rozrywkom. Pan Wiktor urządził dla dzieci plac zabaw z licznymi huśtawkami i karuzelami. Wychwalano grzeczność i delikatność Polaków i choć przyjaciele nie liczyli na zarobek, to kuracjusze zebrali w sumie 400 rubli, które wręczyli Dybowskiemu w podziękę za wykonane prace i opiekę medyczną.

Jesień roku 1867 przeszła pod znakiem epidemii. W Czycie wybuchła wręcz panika związana z szalejącymi jednocześnie tyfusem i szkarlatyną, a ten, kto miał pieniądze i siły opuszczał miasto. Dybowskiego wezwano do Czyty. Gdy powrócił do Darasunia, to pracy było tyle, że on i jego towarzysze nie mieli ani chwili czasu, by rozmyślać o swym losie. Prawie co tydzień ślali okazy do Warszawy i z utęsknieniem oczekiwali wynagrodzenia. Godlewski wykonał instrument, nazywany przez Dybowskiego ichtiometrem i kreślił z jego pomocą kontury pozyskanych okazów. Tej samej jesieni, Czekanowski otrzymał zgodę na osiedlenie się w Paduniu nad Angarą. Większość Polaków, którzy znaleźli się na tym głuchym odludziu, została zatrudniona przy ciężkich pracach ziemnych. Czekanowski cierpiał tam ponoć męki, prawie że piekielne, a w stanie kompletnego fizycznego i psychicznego wyczerpania wy dostał go stamtąd dorpacki kolega, akademik Fryderyk Schmidt. Wkrótce po wyjeździe Czekanowskiego z Darasunia, nadeszła informacja o ułaskawieniu wszystkich obcokrajowców. Parvex jako obywatel szwajcarski otrzymał nakaz natychmiastowego wyjazdu do Irkucka.

Krażyć poczęły plotki, że w związku nieustającymi niepokojami pośród polskich zesłańców, wszyscy Polacy z Zabajkala mają być przeniesieni do guberni Irkuckiej. Niepokoilo to przyjaciół, którzy całkiem wygodnie urządzili się w Darasuniu. Jeszcze bardziej zaniepokojeni byli ci Polacy, którzy pobudowali tam własne domy i założyli całkiem dobrze rokujące gospodarstwa rolne.

Zima przeszła pośród ciągłych zajęć, a Godlewski zakończył pracę nad pałacem atamańskim i wialnią dla Timofiejewa. Także wiosna 1868 r. przeszła spokojnie, a w nowym sezonie letnim przybyła moc gości, wynajmujących mieszkania w domach wybudowanych przez Polaków. Postarano się o nowe rozrywki dla gości. Urządzano m.in. konne wycieczki po okolicy, a wieczory umilały koncerty muzyki polskiej i rosyjskiej wykonywane przez niewielką wędrowną kapelę pod batutą zesłańca Romualda Pytlewskiego.

Latem roku 1868 generał-gubernator Korsakow odwiedził Zabajkale. Na wizytę gotowała się cała Czyta, a swój udział w przygotowaniach do przyjęcia dostojnego gościa mieli i Polacy. Członek baletu warszawskiego Mejbaum przygotowywał z pomocą miejscowych dam widowisko teatralne, a Wrońskiego sprowadzono do malowania dekoracji. Pytlewski odpowiadał za oprawę muzyczną, a Tadeusz Korzon ze zdwojoną energią kierował pracami nad regulacją ulic miasta i urządzeniem promenady spacerowej na miejscu dawnego

---

miejscach. Do akcji włączyła się tylko część zesłańców. Odciął się od niej wraz z liczną grupą kolegów, odbywający karę w Kułtuku, wspomniany w tej opowieści Mikołaj Hartung. Dybowski nazwał to powstanie „dziecinny”. Ostatnie grupy powstańców rozbito po miesiącu zrywu. Rosjanie rozstrzelali czterech przywódców.

śmietniska. Niestety, wraz z przyjazdem wielkorządcy nadszedł rozkaz przeniesienia wszystkich Polaków do guberni Irkuckiej. Dybowski zapisał w swym pamiętniku:

Zdrowa miejscowość, praca na świeżym powietrzu, pożywienie dostateczne, picie wody żelazisto-szczawiowej, kąpiele stałe albo łaźnia, ślubowanie trzeźwości, albo nawet abstynencji, wszystko to razem wzięte, sprawiło, że w czasie naszej bytności w Darasuniu, nikt nie chorował. Wyjeżdżając z nakazu pod konwojem, porzucaliśmy to miejsce z żalem, a dodać muszę, żalowani przez ludność miejscową, z którą zżyliśmy się jak z bliską rodziną<sup>43</sup>.

#### IRKUCK

Dwaj przyjaciele usłyszeli w Irkucku radosną wieść, że okres katorgi zakończył się dla nich nie tylko praktycznie, ale i prawnie. Teraz byli skazani na przymusowe osiedlenie w miejscu wskazanym przez władze. Wszędzie nie brak chorych, a że sława Dybowskiego sięgnęła i tutaj, to wnet zawarł znajomość się z kilkoma osobami z miejscowej elity. Jedna z nich zdradziła, że Dybowskiemu jako miejsce osiedlenia wyznaczono wioskę Jałówkę, Godlewskiego zaś wysłać miano zupełnie gdzie indziej. Dybowski natychmiast zaczął peregrynować po wszystkich znajomych z prośbą o protekcję, aby obaj mogli pozostać w Irkucku do czasu, aż dostaną zezwolenie na wspólne zamieszkanie gdziekolwiek nad Bajkałem. Przypadkowo natrafił na naczelnika powiatu irkuckiego. Dość długo konwersowali, nim się okazało, iż był to bliski przyjaciel komendanta z Darasunia, człowieka tak im przecież życzliwego. Dybowski wiele dobrego słyszał o położonej nad Bajkałem miejscowości Kułtuk, spytał więc Fiodora Pawłowicza Pawliszczenki, bo tak ów najnowszy znajomy się nazywał, o możliwość osiedlenia się w tym właśnie miejscu. Pawliszczenko obiecał sprawę załatwić i faktycznie załatwił. Kułtuk naraił Dybowskiemu dawny znajomy Józef Łagowski, pochodzący z Żytomierza – lekarz, botanik i chemik.

Dr Łagowski po krótkim okresie pracy przymusowej w Ussolu wystarał się o zgodę na osiedlenie w Irkucku. Wnet zdobył sławę znakomitego chirurga, żył wystawnie, a w swym obszernym domu urządzał wspaniałe przyjęcia, na których bywała cała miejscowa śmietanka towarzyska. Dzięki swym znajomościom pomógł dziesiątkom polskich zesłańców w pomyślnym załatwieniu spraw administracyjnych. Pośród jego zamożnych pacjentów był kupiec Permikin. Tenże kupiec posiadał w Kułtuku spory dom, a przy domu zabudowania gospodarskie, ogród warzywny i kawał łąki. Wszystko to zgodził się wynająć za kwotę wręcz śmieszną, bo za 15 rubli rocznie. Były to najprawdopodobniej najdogodniejsze warunki najmu nad całym Bajkałem. Później dr Łagowski jeszcze raz użył swych znajomości i u kupców z Kułtuka, wystarał się dla przyjaciół o kredyt.

W Irkucku przyjaciele spotkali także Czekanowskiego. Był już zdrow, pełen energii i gotów do nowych wypraw badawczych. Nosił się elegancko, wynajmował czyste, wygodnie wyposażone, dwupokojowe mieszkanie, w którym często gościł różne ważne irkuckie persony. Jedną z nich był pułkownik Ussolcew, topograf i wiceprezes irkuckiego oddziału Towarzystwa Geograficznego. Dybowski szybko zawarł bliższą znajomość z pułkownikiem, a ten prawie od

<sup>43</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 238.



ręki wystawił „list otwarty” do wszystkich władz gminnych, polecający pomoc badaczom w ich pracy.



Ilustracja 5. Irkuck przed wielkim pożarem w roku 1878<sup>44</sup>.

Godlewski również miał w Irkucku liczne grono znajomych, a nawet większe, bo w odróżnieniu od doktora lubił się czasem zabawić, a nawet zagrać w karty. Zafascynowany był miastem, które rosło jak na drożdżach. W krótkim czasie Irkuck z obskurnej miejsciny przekształcił się w tętniące życiem miasto. Zaroiło się od warsztatów rzemieślniczych, eleganckich sklepów, hoteli, restauracji, cukierni, firm transportowych, fabryk, a wszystko to powstało po większej części dzięki energii Polaków i znajdowało się w polskich rękach. Doszedł więc pan Wiktor do słusznego zapewne wniosku, że ze swym talentem budowlanym i organizacyjnym może zbić w Irkucku fortunę, a przynajmniej fortunę i po powrocie do kraju stać się właścicielem wymarzonego kawałka ziemi, koniecznie z dworkiem. Była to perspektywa bardziej kusząca, od poszukiwania w toniach Bajkału skorupiaków i mglistych perspektyw na naukowe laury. Gdy więc Dybowski z radością ogłosił nowinę, że jadą do Kułtuka, to Godlewski zareagował chłodno. Począł pan Benedykt gorączkowo szukać sposobu na nakłonienie przyjaciela do powrotu na łono nauki. Pomógł list Władysława Taczanowskiego<sup>45</sup>, przesłany z Warszawy na adres Bolesława Kukiela, przewodniczącego Wschodniosyberyjskiego Oddziału Cesarsko Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Taczanowski dziękował za otrzymane zbiory i obiecywał przysłać, tak bardzo potrzebne w tej chwili pieniądze. Listem tym zdołał Dybowski przekonać przyjaciela do dalszych poświęceń na rzecz nauki.

Potrzebny był jeszcze ktoś, kto poprowadzi ich gospodarstwo w Kułtuku, a w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich, pomoże w preparowaniu zwierząt i roślin. Wybór padł na Władysława Książopolskiego. Pan Władysław był kolegą Stanisława Wrońskiego z gimnazjum

<sup>44</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *O Syberji i Kamczatce. Cz. 1.*

<sup>45</sup> Zoolog, następca F. P. Jarockiego na stanowisku kustosa warszawskiego Gabinetu Zoologicznego. Studiował w Paryżu, współpracował z licznymi europejskimi ośrodkami badawczymi i muzeami m.in. w Berlinie, Londynie, Paryżu i Wiedniu. Kontakty te ułatwiały sprzedaż przesyłanych przez bohaterów tej opowieści dubletów okazów. Autor licznych dzieł naukowych.

w Lublinie, a po jego ukończeniu urzędnikiem pocztowym. W Darasuniu razem z kolegą zbudował domek i wspólnie prowadzili małe gospodarstwo rolne. Przy Dybowskim, Godlewskim i Parvexie nauczył się preparować ptaki, zasuszać rośliny i zapisywać dane meteorologiczne. Warto w tym momencie wspomnieć, że świetnie czuł się w Irkucku także znany nam już malarz Wroński. Bywał w znakomitych domach, był duszą towarzystwa, brylował na przyjęciach, zbierał moc zamówień, tyle że jak na artystę przystało spał po zakrapianych „wieczorkach tańczących” do południa, z pieniędzmi się nie liczył i swe finanse prowadził niedbale. Na szczęście, niemal ojcowską opieką otoczył malarza były ziemianin, a teraz wzięty rzeźbiarz i twórca malarskich miniatur Konstanty Siciński, który swe interesy prowadził znacznie oględniej od Wrońskiego.



Ilustracja 6. Władysław Księżopolski w Kułtuku<sup>46</sup>.

Zasoby pieniężne nowych mieszkańców Kułtuka były wciąż szczupłe, zatem Dybowski zwrócił się do irkuckiego oddziału Towarzystwa Geograficznego z prośbą o dofinansowanie, a udzielony zasiłek miał zostać spłacony zbiorami. Kierownik tejże instytucji odniósł się do propozycji chłodno i powtórzył za naukowymi autorytetami, że fauna niższych organizmów jest w Bajkale bardzo uboga, więc badać nie ma w zasadzie czego, a przeznaczenie na ten cel pieniędzy byłoby marnotrawieniem środków. Takie potraktowanie propozycji Dybowskiego nie wynikało z uprzedzeń względem polskiego zesłańca. Podobnie traktowano wszystkich, którzy odważyli się podważać teorie osób wciąż żyjących, wysoko postawionych i bliskich carskiemu dworowi. Okazanie pomocy zarozumialcowi, który powątpiewał w słuszność też głoszonych przez nestorów nauki, mogło złamać każdą karierę.

Człowiekiem w Kułtuku najważniejszym, o którego względy należało się starać, miał być potentat pocztowy Zołotnicki. Pod jego zarządem znajdowało się kilkanaście stacji pocztowych od Irkucka po Posolsk. Stacje przynosiły spore dochody, a że Zołotnicki nie omieszkał dzielić się tymi dochodami z przedstawicielami władzy w Irkucku, to stał się człowiekiem nie tylko zamożnym, ale i bardzo wpływowym. Dybowski natychmiast wystarał się o listy polecające, spisane przez znajomych członków irkuckiej elity, a adresowane do tej ważnej figury.

<sup>46</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*



W grudniu 1868 r. nadszedł wreszcie dzień, w którym trzech eksploratorów przekroczyło Angarę i puściło się wynajętymi przez Godlewskiego saniami do oddalonego o ok. 90 wiorst Kułtuka.

## KUŁTUK

Pobyt tutaj zapowiadał się bardzo sympatycznie. Mimo że przybyli późnym wieczorem, to w piecach napalono. Zawdzięczali to Mikołajowi Kołodziejowi, zesłanemu za przemyt Polakowi z Wołynia. Pan Mikołaj długo tułał się po Syberii, nim osiadł w Kułtuku. Tutaj ożenił się z prawosławną, żona mu umarła, dzieci nie miał i najał się na stróża domu Permikina, w którym niegdyś urządzono fabryczkę wyrobów z lapis-lazuli. Gdy fabryczkę zamknięto, to pozostał stróżem pustego domu, a na życie zarabiał wyrabianiem kół drewnianych. A że zapomniał już, jak brzmi jego nazwisko rodowe, to przyjął nazwisko pochodzące od swej obecnej profesji. Pan Mikołaj lubił gorzałkę i cały zarobek poświęcał swej pasji, ale w zwykłe dni pił wyłącznie do poduszki, a tylko w święta, gdy nic nie robił, upijał się i za dnia.

Wynajęty dom Permikina był jednym z najokazalszych w wiosce, a rywalizować z nim mógł tylko dom pułkownika Schatza, inżyniera, budowniczego dróg i mostów. Bolączką okolicy było złodziejstwo, uskuteczniane głównie przez ciągnących traktem *bradiagów* (włóczęgów). Schatz zatrudniał ich do prowadzonych robót, a że robotników wciąż przybywało, a miejsca dla ich lokowania brakowało, to pusty dom był wręcz obleżony, przez szukających miejsca do zamieszkania *bradiagów*. Pełniący obowiązki stróża Kołodziej uznał więc przybycie trójki Polaków za wybawienie. W okolicy częste były rozboje na drogach i przypadki zabójstw. Stróż poradził, aby proszącym o pomoc *bradiagom* zawsze dawać chleb, twaróg, mięso, a to dla uniknięcia zemsty i podpalenia domu. Miłą niespodzianką była nie tylko wielkość domu, ale i jego pełne umeblowanie. Jeszcze tego samego dnia odwiedził ich Zołotnicki i powiadomił, iż przyszedł ukaz od starosty, aby trzech badaczy otoczyć opieką, a każda kradzież ich mieniu, ma być uznana za kradzież mienia państwowego i za taki postępek, odpowie cała gmina.

Centrum życia tej lichej miejscowości były dwa szynki. Jeden, tak zwany prawosławny, prowadził niejaki Szyszkin, który w ulokowanym tuż obok kramiku parał się handlem. Drugi szynk, znajdujący się naprzeciwko domu Permikina, zwał się buriackim, bo przez Buriata był prowadzony. W miejscowości znajdowała się też szkoła, ale z braku chętnych do nauki, bliska była zamknięcia. Zołotnicki zaofiarował wszelką pomoc i podzielił się wspaniałą informacją, że właśnie brzegi Bajkału zamarzły, co może samo w sobie nadzwyczajnym zjawiskiem nie było, ale dzięki sprzyjającym wiatrom utworzyła się przy brzegach jeziora rzadko spotykana gładź lodowa, dzięki czemu można odbywać kilkunastowiorstowe wycieczki na łyżwach, a z „saneczkami z żaglem” to i znacznie dalsze. Zwykle, gdy wiały wiosenne wichry, święte morze Buriatów ożywało, a na ląd wdzierały się masy lodu, tworząc trudną do pokonania barierę.

Gdy Dybowski z Godlewskim prowadzili rozmowy na najwyższym szczeblu, to Księżopolski także nie próżnował i przy kieliszku konferował z ich najbliższą sąsiadką Iwanichą – skądinąd znakomitą kucharką. Iwanicha wiedziała wszystko o wszystkich i o wszystkim, co działo się w okolicy, więc tematów do rozmowy było bez liku także podczas przyrządzania znakomitego obiadu, złożonego z kapuśniaku na wieprzowinie, smażonych miętusów i naleśników. Młodzieniec zdobył moc informacji o miejscowych stosunkach i wnet roztoczył przed

towarzyszami wizję swej zakrojonej na wielką skalę kariery kupieckiej. A że kariera miała się w znacznej części opierać na spekulacji i przemyśle, to zwiastowała kłopoty i zaniepokoiła przyjaciół. Pełen obaw Dybowski długo nie mógł zasnąć, aż doszedł do wniosku, że biznesowe wzmoczenie Księżopolskiego wynikało ze znacznej ilości spożytej gorzałki. Gdy więc zmorzony snem głębokim, przyszły potentat bajkalskiego handlu wreszcie otworzył oczy, to Dybowski kazał mu wyrzec się trunków wysokowych. Księżopolski uroczyście przysiągł dochowanie zasadom abstynencji, choć w miejscowości, gdzie wszyscy, włącznie z inteligencją, pili bez umiaru, było to zadanie trudne i Księżopolski będzie miał chwile upadku. W końcu nałóg go pochłonie i stanie się przyczyną jego licznych nieszczęść.



Ilustracja 7. Kułtuk. Odręczny napis na rewersie fotografii: Dr B. Dybowski 1869/Kułtuk nad Bajkałem/wjazd do wsi/komora celna.  
Źródło: Muzeum i Instytut Zoologii PAN.

Następnego dnia, rozmówili się z miejscowymi myśliwymi i rybakami, zdobywając wiele cennych informacji, dotyczących także rzeczy niezwykłych. Choćby niejacy Gawryło i Grigorjew, mieli ponoć strzelby zwiastujące zbliżenie się zwierzyny. Znaki te były dostrzegalne i słyszalne tylko przez właścicieli strzelb, więc prawdziwość tej historii trudna była do zweryfikowania. Pierwszą wycieczkę na lód odbyli kilka dni później. Lód był kryształowo czysty, a leżące nawet na głębokości kilkunastu metrów dno widoczne było dokładnie. Gdy przybliżyli oczy do tafli, wnet zauważyli, że woda pełna jest życia. Pełno tam było kielży, mięczaków, robaków. Zaraz potem przysłała pora na bardziej szczegółowe badania w wyrąbanych przeręblach. Dziennie nie byli stanie wykonać w ich więcej niż 10, ale ciężka praca nie szła na marne, bo z każdej wyławiali stworzenia, coraz ciekawsze, coraz oryginalniejsze. Wszystko należało dokładnie ocenić, wymierzyć, narysować i opisać. Pracowali nawet nocami i wiosną 1869 r. mieli już dobrze opisanych około 70 gatunków kielży, 30 gatunków mięczaków i 18 ryb. Nowy gatunek gigantycznego, bo liczącego 90 mm kielża, Dybowski nazwał *Gammarus godlewskii*. Inny niezwykły okaz fauny nazwał *Caelestia branickii*, a to ze względu na fakt, że Konstanty Grzegorz hrabia Branicki, z zamiłowania przyrodnik i podróżnik, gotów był wyłożyć okrągłą sumkę na publikację dzieła o kielżach bajkalskich. Okazy dla Gabinetu Zoologicznego w Warszawie badacze dostarczali za darmo, a tylko za sprzedane do zagranicznych kolekcji dublety mieli otrzymać zapłatę. Od czasu do czasu, hrabia Branicki,

hojny mecenas warszawskiego gabinetu spieszył polskim badaczom z finansową pomocą, także wtedy, gdy kwoty ze sprzedaży dubletów okazywały się zbyt skromne.



Ilustracja 8. Zrekonstruowany dom kupca Permikina w Kułtuku<sup>47</sup>.

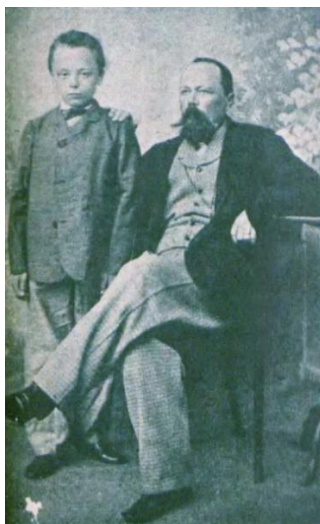
Księżopolski okazał się arcymistrzem w roli handlowca i intendenta. Nawiązał stosunki z licznymi kupcami i prawie co tydzień wyjeżdżał do stolicy Syberii Wschodniej. Potrafił dogadać się nawet z *bradiagami*, a choć z powodu zdarzających się rozbojów miejscowi ostrzegali przed samotnymi podróżami, to jeździł w pojedynkę, uzbrojony jedynie w króciwą i fuzję, a wypchana czapa futrzana służyła za hełm chroniący głowę przed niespodziewanym uderzeniem. Naczelnik Pawliszczew nie tylko był życzliwy, ale wręcz otoczył badaczy opieką. Raz tylko skradziono im mienie, a mianowicie linę. Winnym okazał się karczmarz z naprzeciwka i jego kompan. Linę odzyskano, winnych ukarano i więcej podobny wypadek już się nie powtórzył. Przybłąkał się do nich pies, którego nazwali Walton. Pies był niepospolicie inteligentny i wręcz odgadywał myśli swych opiekunów, a gdy wyjeżdżali w góry, to pełnił funkcję listonosza, zanosząc listy do Kułtuka i przynosząc stamtąd odpowiedzi. Był nieocenioną pomocą podczas polowań. Gdy przejeżdżali konno przez obce wioski, to Walton, bojąc się psów wioskowych, podskakiwał do siodła Godlewskiego, a ten układał przyjaciela przed sobą i w tej niewygodnej pozycji pies pozostawał, aż do momentu opuszczenia wioski. Pan Wiktor tak polubił Waltona, że nie odmawiał mu wskakiwania na swoje łóżko.

Do badań głębokiego na ponad kilometr jeziora potrzebowali wielkich ilości lin. W większości wytwarzali je sami, a z racji wielkości tej produkcji, można wręcz mówić, iż posiadali własną fabrykę. Tylko w pierwszym roku swej działalności zużyli ok. 100.000 m szpagatu i 2000 m cienkiego sznurka, a najdłuższe wykonane przez nich liny osiągały ok. 3000 m długości<sup>48</sup>. Pomocy naukowych mieli jak na lekarstwo, ale wystarczyło, że Dybowski opowiedział Godlewskiemu, jak wyglądał instrument, który niegdyś zobaczył na jakimś uniwersytecie, lub czego po danym „ustroju” oczekiwał. Pan Wiktor szedł do kuźni i na podstawie tych nader skromnych informacji, wykonywał przyrządy genialne w swej prostocie, które okazywały się często bardziej skuteczne i trwalsze od tych wytwarzanych przez renomowane firmy.

<sup>47</sup> Fotografia z książki: Gabriel Brzęk, *Benedykt Dybowski*.

<sup>48</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 327.

Obmyślił m.in. jak mierzyć głębokość jeziora przy pomocy wagi. Załóżmy, że 100 m linki ważyło w wodzie jeden funt, a ołowiany obciążnik funtów także 10. Gdy na głębokości 1000 m, waga wskazywała funtów 20, oznaczało to, że dno wiąż nie zostało osiągnięte. W przypadku, gdyby głębokość wynosiła właśnie 1000 metrów, to waga powinna wykazywać funtów 10. Podciągając i opuszczając linkę byli w stanie określić głębokość z dokładnością do 1 m, a gdy zaszła potrzeba to nawet do 1 dcm. Pozornie wygląda to prosto, ale liny wyciągane z wody za pomocą kołowrotu (także wykonanego przez Godlewskiego) natychmiast zamarzały i ważyły tony. Były tych przemyślnych przyrządów konstrukcji pana Wiktora dziesiątki, że wymienię jeszcze czerpak, który pozwalał pobierać z dna jeziora próbki z warstw iłu. Badacze wysyłali te z trudem zdobyte próbki do Warszawy, lecz był to trud daremny, gdyż nikt ich nigdy nie wykorzystał. Wpadli także na genialny pomysł, by do oczyszczania szkieletów okazów fauny wykorzystywać dwa gatunki kielży, które wykonywały tę czynność z niesłychaną precyzją. Wykonane siłami kielży dzieła, wywoływały zachwyty osób oglądających eksponaty.



Ilustracja 9. Dr Łagowski z synem Michasiem<sup>49</sup>.

Szczególnie wiosną, bajkalskie lody prawie bezustannie wydawały z siebie dźwięki przypominające na zmianę: detonację bomby, grzmot pioruna, artyleryjską kanonadę, innym zaś razem serię karabinową lub wystrzał z pistoletu. Czasami były to ledwie słyszalne, upiorne jęki, westchnienia, szmery. Nic dziwnego, iż okoliczne ludy wierzyły, że były to głosy zamieszkujących głębiny, rozgniewanych bóstw lub skazanych na potępienie dusz. Nie zdarzyło się, aby i oświeceni goście z Irkucka, gdy wraz z badaczami podążali ku przerębłom, słysząc te demoniczne odgłosy, nie zrezygnowali z wycieczki i nie zażądali powrotu na brzeg. Godlewski z Dybowskim tak się do tej muzyki przyzwyczaili, że spali na lodzie snem najgłębszym, gdy na dole huczał Bajkał. Już w kwietniu i oni musieli zaprzestać odwiedzania przerębli, bo łód zaczął się rozpadać. Wówczas poświęcali się badaniom ornitologicznym, ale nie zapominając o owadach i pająkach. Wraz z nadejściem w końcu maja 1869 r. instrumentów meteorologicznych, do codziennych obowiązków Księżopolskiego doszło prowadzenie obserwacji pogodowych. W czerwcu, grono osób zamieszkujących dom

<sup>49</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*

powiększyło się o Feliksa Zienkowicza<sup>50</sup> i Michasia, syna dr. Łagowskiego. Ten ostatni był zapalonym przyrodnikiem, a pasją swą zaraził syna. Michaś i Godlewski zostali serdecznymi przyjaciółmi. Badaczy odwiedzali także księża Jankowski i Drewnowski, których miejscem zesłania była niedaleka wioska Tunka. Zienkowicz tak zapamiętał tytułowego bohatera tej opowieści:

Słusznego wzrostu, krzepkiej budowy, żelaznego zdrowia, niezmordowanej wytrwałości na wszelkie trudy i niewygody, potężnej siły a zarazem wielkiej zręczności w pracy wszelkiej, do wszystkiego się nadawał, wszystko potrafił wykonać i przed żadną przeszkodą lub trudnością nigdy nie cofnął się, póki nie znalazł sposobu jej pokonania. Zmysły wszelkie: wzrok, słuch itd. miał nader ostre i doskonałe, a w parze z zaletami ciała odpowiednie zdolności umysłowe: pamięć wyborną, spostrzegawczość niepospolitą, rozwagę dużą, pomysłowość bogatą<sup>51</sup>.

Również w czerwcu Łagowski nadesłał Dybowskiemu pilną wiadomość, której treść można streścić w dwóch słowach – natychmiast przyjeżdżaj! Okazało się, że do Irkucka zjechała, wysłana osobiście przez cara komisja, z zadaniem zbadania niektórych spraw na Amurze, Ussuri i wybrzeżu Morza Mandżurskiego oraz w Korei i w Japonii. Komisja potrzebowała lekarza-przyrodnika, a że Łagowski sam jechać nie mógł, to zaproponował Dybowskiego. Powinności nie były zbyt rozległe. Poza pełnieniem obowiązków lekarza, miał jako przyrodnik, wystarać się o piękne okazy do herbarium carówny Marii Aleksandrowny. Pozostawała kwestia wynagrodzenia. Łagowski doradzał, aby Dybowski zażądał najmniej 1000 rubli, a ten tymczasem oświadczył, że w tak interesującym przedsięwzięciu gotów jest wziąć udział za darmo. Dr Łagowski dziwnie popatrzył na Dybowskiego i pożyczył mu na drogę 100 rubli. Prawdziwym celem tej wyprawy było podobno zbadanie możliwości przyłączenia Mandżurii do Krajów Amurskiego i Ussuryjskiego. Dybowski spojrzął na listę uczestników wyprawy. Na miejscu dziesiątym figurował Nikołaj Michajłowicz Przewalski<sup>52</sup>, kapitan sztabu generalnego, który miał pełnić obowiązki przewodnika po Kraju Ussuryjskim.

Wiele o tej wyprawie pisać nie będę, bo to w końcu opowieść o Godlewskim. Wspomnę tylko, że z powodu powodzi odbywała się w ciężkich warunkach i w wielkim pośpiechu. Pośpiech wynikał przede wszystkim z faktu, że członkom komisji śpieszyło się, by wcześniej dzień pracy zakończyć i zasiąść do karcianego stolika. W tych warunkach o pracy przyrodniczej na szerszą skalę Dybowski myśleć nie mógł. Poza pewną ilością okazów, namacalnym efektem tej

---

<sup>50</sup> Studiował nauki przyrodnicze w Petersburgu, a przyrodę i medycynę w Paryżu. Był uczestnikiem rejsu angielskiego statku Word-Jackson, którego celem było dostarczenie broni dla powstańców. W Wilnie pełnił funkcję zastępcy komisarza wojskowego. W sierpniu 1863 r. został aresztowany i skazany na śmierć. Wyrok zamieniono mu na 12 lat katorgi. Do 1868 r. przebywał w Ussolu, a później w Irkucku. Zarabkował ucząc dzieci zesłańców, a w tym i syna dr. Łagowskiego.

<sup>51</sup> Feliks Zienkowicz, *Wiktor Godlewski. Wspomnienie pośmiertne*.

<sup>52</sup> Przewalski miał ponoć jakichś polskich przodków, ale w czasach dosyć odległych. Wzorem ojca, który walczył przeciwko powstaniu listopadowemu, zgłosił się w roku 1863 na ochotnika do walki przeciwko powstańcom styczniowym. W momencie spotkania z Dybowskim zaśląnął już z badań Kraju Ussuryjskiego. Później przemierzył m.in. Mongolię i Tybet. Krąży o nim wiele fantastycznych opowieści, a są tacy, co uważają Nikołaja Michajłowicza za ojca Józefa Stalina.

eskapady było 125 rubli otrzymanych od dowodzącego wyprawą generała Skołkowa tytułem gratyfikacji za trudy podróży. Ten sam Skołkow, po usłyszeniu prośby Dybowskiego o pozwolenie na podróż wraz z przyjaciółmi do krajów Amurskiego i Ussuryjskiego, załatwił zezwolenie od ręki.

W lecie, podczas nieobecności Dybowskiego, Godlewski często urządzał wycieczki w góry Chamardabańskie. W kilku uczestniczył Zienkowicz oraz dr Łagowski z Michasiem, ale aura nie sprzyjała wycieczkom, a góry te z racji wyjątkowo raptownych zmian pogody były zdradliwe: z minuty na minutę potrafiła powstać mgła tak gęsta, że wędrówka w niej graniczyła z samobójstwem; ściany deszczu potrafiły spadać z nieba całymi dniami, zamieniając każdą dróżkę w niosący zwały ziemi i masy kamieni potok; nawet letnią porą ni z tego, ni z owego nadchodziły śnieżyce, tak gwałtowne, że najwięksi śmiałkowie nie wychylali nosów z naprędcie urządzonych kryjówek, a liczne były przypadki śmierci podróżników w zamieci. Wystarczy napisać, że tamtejsi mieszkańcy zgodnie uznawali, że niebezpieczeństwo ze strony wilków i niedźwiedzi, było błahostką w porównaniu z groźbą nagłego załamania pogody. Pomimo tych przeszkód Godlewski zdołał wypreparować kilkaset okazów ptaków. W pojedynkę kontynuował prace nad fauną bajkalską i przybyło nieco nowych gatunków kielży i mięczaków.

Po powrocie Dybowskiego z rządowej wyprawy pojechał pan Wiktor do Irkucka, aby przyjaciela wraz z bagażami i amurskimi okazami zabrać do Kułtuka. Przy okazji poznał Przewalskiego, który zabawił w mieście na dłużej z serią odczytów w Towarzystwie Geograficznym. Jako zapaleni myśliwi, obaj panowie godzinami potrafili rozmawiać o swej pasji, więc nic dziwnego, że z miejsca się zaprzyjaźnili. Przewalski zaprosił nawet Godlewskiego do wspólnej wyprawy w góry Azji Środkowej. Dybowski z ulgą odetchnął, gdy pan Wiktor uprzejmie odmówił. Gdy wracali do Kułtuka, wszędzie widzieli grupy nieszczęśników, którzy potracili zajęcie. Grupki wkrótce przekształciły się w tłumy, bo z powodu kiepskiej aury, zbiory były marne, a gospodarze zwalniali z pracy coraz większe rzesze parobków. Biedacy szli na zachód w poszukiwaniu jakiegokolwiek zajęcia, a szlak swój znaczyli rabunkami i zabójstwami. O wyprawach w pojedynkę w góry, a nawet w najbliższe okolice należało zapomnieć.



Ilustracja 10. Od lewej: Marian Dubiecki, Henryk Wohl, Benedykt Dybowski, Feliks Zienkowicz, Leon Dąbrowski<sup>53</sup>.

<sup>53</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*



Wielką tajemnicą Bajkału była zamieszkująca jego głębiny ryba gołomianka. Corocznie martwe okazy wypływały na powierzchnię jeziora, a naukowcy zastanawiali się nad przyczynami tego wymierania. Panował pogląd, że przyczyną są wydobywające się z dna jeziora gazy wulkaniczne. Towarzystwo Geograficzne wysłało nawet nad jezioro Czekanowskiego w towarzystwie znanego akademika, ci zaś sprawę zbadali i potwierdzili tezę o gazach wulkanicznych jako powódzie wymierania. Dybowski, podobnie jak w wielu innych sprawach także i w tej miał odwagę zaprzeczyć tezom powszechnie uznanych autorytetów. Nie mógł choćby zrozumieć, dlaczego gazy wybierały na swe ofiary tylko gołomianki i to wyłącznie osobniki dorosłe. Zdobycie żyjącej na dużych głębokościach, żywej gołomianki zdawało się niepodobieństwem. Niełatwo też było o martwe okazy, bo pojawiały się tylko pod koniec października, gdy taflę jeziora spowijały gęste mgły i znikąd nadchodziły wichry i burze. Nikt wówczas nie miał dosyć odwagi, by wypłynąć na jezioro, a setki arogantów, którzy pomimo ostrzeżeń rzucili wyzwanie świętemu morzu, zniknęły w jego odmętach.



Ilustracja 11. Gołomianka.

Źródło: *zooex.bajkal.ru*.

Pomimo ostrzeżeń, jeszcze w październiku roku 1869, obaj badacze wypłynęli na jezioro, a orientację w gęstych oparach umożliwiał im kompas. Byli daleko od brzegu, gdy nagle wiatr rozproszył na moment mgłę i ujrzeli unoszący się na wodzie biały przedmiot. Podpłynęli, Godlewski sięgnął po siatkę i obiekt wyłowił. Można sobie wyobrazić radość obu badaczy, gdy okazało się, że to żywa gołomianka. Złowiony unikat umieścili w naczyniu z wodą i pomknęli ku brzegowi. Zmęczeni udali się na spoczynek, a rankiem odkryli, że ryba była już niestety martwa. Obaj oniemieli, gdy w jej wnętrzu zamiast ikry znaleźli zarodniki w stanie daleko posuniętego rozwoju. Aby upewnić się, że owa rybka nie była jednorazowym fenomenem, podjęli ryzyko kolejnych wypraw na jezioro i znaleźli dwanaście następnych, na wpół żywych gołomianek. Było już pewne, że ryby te nie składają ikry, ale rodzą żywe młode. Tym samym wyjaśniła się przyczyna ich masowej śmierci. Ryby zdychały przy porodzie, a martwe ich truchła wypływały na powierzchnię. Było to sensacyjne odkrycie.

Na Wielkanoc 1870 r. zjechali się goście. Im także wyznaczano przeróżne zadania naukowe. Zienkowicz rysował kielże, a Wroński malował barwne ilustracje ryb. Warto też odnotować przybycie do Kułtuka innego unikalnego okazu. Był nim postępowy pop Iwan i jego nie mniej postępową małżonkę, która w Irkucku ukończyła instytut dla panien. Był to pierwszy napotkany przez przyjaciół pop, który nie pił, nie grał w karty, a nadto był człowiekiem

myślącym i to myślącym logicznie. Miał szeroką wiedzę z zakresu astronomii, geologii, przyrodoznawstwa. Wiedzę tę zdobył dzięki przyjaźni z pewnym uczonym katorżnikiem. Był interesującym rozmówcą i częstym gościem w domu polskich badaczy. Ojciec Iwan wraz żoną wskrzesił miejscową szkołę, a następnie doprowadził do likwidacji szynków i to pomimo sieci intryg, które utkała właścicielka tych lokali. Oświatowa aktywność popa wkrótce poczyni jednak szkodę ciemnym interesom Złotnickiego. Pop ulegnie naciskom i przeniesie się dalej na wschód do wioski pod zarządem oświeconego księcia Gantimurowa.

Na jesieni tego samego roku Dybowski spotkał w Irkucku Jana Czerskiego. W porównaniu z Dybowskim uczony był ascetą, żyjącym włącznie nauką: „Ubranie Czerskiego stanowił kozuch barani czarno-barwny, na nogach walonki, innego odzienia nie posiadał i żadnych środków pieniężnych nie miał; mieszkanie i utrzymanie uzyskał za naukę dzieci gospodarza, u którego zamieszkał”<sup>54</sup>. Dybowski z Czekanowskim prawie siłą wymogli na Czerskim, aby przyjął pewną sumę pieniędzy. Z pomocą miejscowych Polaków zorganizowali dla uczonego ciepły kąć do zamieszkania, regularne posiłki, pościel, odzież i bieliznę. Teraz mógł prowadzić działalność naukową, nie troszcząc się o podstawowe potrzeby.

Po zapewnieniu Czerskiemu możliwie spokojnych warunków pracy Dybowski powrócił do Kułtuka i wraz z Godlewskim przystąpili do pomiaru głębokości jeziora, w poprzek Bajkału na linii od Listwianki i od Paławinnej. Spali, ścieląc sobie posłania na śniegu i lodzie. Wracali z Bajkału śmiertelnie zmęczeni, z obrzękłymi, czerwonymi twarzami i tej samej barwy oczami, ale wracali szczęśliwi. Największa zmierzona wówczas głębokość wyniosła 1372 m. Pomiary wykonane dekady później, przy użyciu najnowocześniejszej aparatury wykazały, że największa głębokość jeziora w tym rejonie wynosiła 1419 m.

W Irkucku zaszły w roku 1871 pewne zmiany. Liberalnego generała-gubernatora Michała Korsakowa zastąpił Sienielnikow, którego Dybowski nazywał średniowiecznym barbarzyńcą, głupcem, nieukiem i pijakiem. To niekorzystne wydarzenie zbiegło się w czasie z innym, ale wielce obiecującym. Ze stolicy imperium nadeszły bowiem paszporty i opatrzone licznymi pieczęciami przepustki, pozwalające przyjaciom na wyprawę nad Amur i do Kraju Ussuryjskiego. Znajomy polski introligator oprawił wszystkie te dokumenty w budzące respekt złoczone okładki.

Godlewski wyjechał na wiele tygodni na Zabajkale i przywiózł stamtąd liczne okazy fauny, mających nie tylko wielką wartość naukową, ale i finansową. Powoli ich praca zaczęła być doceniana. W 1871 r. odbyła się w Irkucku wielka wystawa prezentująca gospodarcze i naukowe osiągnięcia mieszkańców Syberii. Oczywiście większość eksponatów wystawili Polacy. Poproszono także badaczy z Kułtuka, aby pochwalili się swoimi zbiorami. Od oddziału Towarzystwa Geograficznego w Irkucku otrzymali 300 rubli na wydanie atlasu ryb amurskich i bajkalskich, a Konstanty hrabia Branicki ofiarował kolejne 800 rubli na wydanie atlasu kielży bajkalskich. Towarzystwo Geograficzne zaproponowało nawet Dybowskiemu, że może się dla badacza wystarać o oficjalny przydomek do jego nazwiska i zwałby się wtedy Dybowskiem Bajkalskim, ale że brzmiało to nadto rosyjsko, to pan Benedykt uprzejmie odmówił. Wraz z

<sup>54</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 425.



Godlewskim przyjęli natomiast z radością złoty medal przyznany w stolicy imperium w nagrodę za ich pracę. Taki sam medal otrzymał Czekanowski.

Kułtuk stał się popularny wśród irkuckich Polaków do tego stopnia, że latem, obszerny dom badaczy okazał się zbyt mały i wiele osób wynajmowało mieszkania u miejscowych gospodarzy. Na krótko przyjechali także Czerski i Czekanowski. Wzajemne odwiedziny, pikniki, herbatki, wszystko to sprawiało, że atmosfera panowała wyjątkowo miła. Podobnie jak w roku poprzednim, także i teraz wielu gościom, a w tym oczywiście Zienkowiczowi i Wrońskiemu, przydzielono do wykonania rozliczne zadania naukowe.



Ilustracja 12. Od lewej: Wiktor Godlewski, Benedykt Dybowski, Paweł Ekert, Mikołaj Hartung<sup>55</sup>.

### WYPRAWA NAD MORZE JAPONSKIE

Wiosną 1872 r. nadszedł wreszcie czas na wyprawę aż do wschodnich krańców imperium. Godlewski wyruszył jako pierwszy na rekonesans w rejon Balzyny. Dybowski pozostał jeszcze na moment w Kułtuku, a później w Irkucku, by pozatłwiać ostanie sprawy związane z pracą naukową i wysyłką okazów do Warszawy. Podróż rozpoczynali w ponurych nastrojach, bo w Irkucku umierał na raka żołądka ich wielki przyjaciel i dobroczyńca dr Łagowski. Księżopolski pozostał na gospodarce w Kułtuku, trzeci zaś członek wyprawy miał dołączyć nieco później, ale o nim za chwilę.

Dybowski przyłączył się do Godlewskiego kilka tygodni później. Od czasu, gdy opuścili te okolice, Darasuń stał się ulubioną miejscowością wypoczynkową żydowskich mieszkańców Irkucka i Czyty. W okolicznych wioskach nie zapomniano o cudotwórcy oraz złotorękim i przyjmowano ich serdecznie. Przez pewien czas byli gośćmi Timofiejewa, a później Szczegłowa w Kirpicznej. Doktor był w ciągłych rozjazdach, bo zewsząd dochodziły błagania o przyjazd do chorych, gdy nagle do oddalonej osady przybył posłaniec ze straszną wiadomością – Godlewski umiera. Pan Wiktor leżał trupio bład, lecz przytomny; brzuch go bolał niemiłosiernie i wstrząsały nim torsje. Przeróżnymi miksturami Dybowski przywrócił

<sup>55</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*

przyjaciela do życia, a ten wyznał, że to już kolejny napad choroby. Pierwszy zdarzył się jeszcze w Pietrowsku, a tamtejsi lekarze nazwali tę przypadłość choleryną. Po prawdzie, to sam Dybowski nie bardzo wiedział, czemu zawdzięczać ten rychły powrót pana Wiktora do zdrowia. Sądził, że to przede wszystkim zasługa silnego organizmu przyjaciela, a nie medycyny. Jakakolwiek byłaby prawda, to na setki wiorst rozniosła się wieść, że Dybowski powrócił cudem z zaświatów kolejnego nieszczęśnika.

Latem przyszła wiadomość, że trzeci członek ekspedycji gotowy jest dołączyć do wyprawy. Był nim Michał Jankowski, który miał przybyć ze znakomitym angielskim sztucercem i psem Barsem. Trzeba było mieć nadzieję, że Bars zaprzyjaźni się z Waltonem, ale niestety, do ich spotkania nie doszło. Podczas nieobecności przyjaciół w domu, zawsze pozostawiano jedno okno otwarte. Walton, uchodząc przed sforą psów wioskowych, wskakiwał przez okno do domu, gdzie znajdował azyl. Fatalnego dnia, ktoś niestety zapomniał okno otworzyć. Godlewski ciężko przeżył śmierć przyjaciela.

Jankowski był człowiekiem energicznym i uzdolnionym technicznie. Dybowski poznał go w Siwakowej, gdy wraz z Dąbrowskim zostali wyznaczeni do wyrabiania grubych kłód modrzewiowych, przeznaczonych do budowy barż. Marna to była para pilarzy, więc Jankowski jako utalentowany cieśla zaoferował swą pomoc. Szybko zdobył ze względu na swe umiejętności, kierownicze stanowisko i wprowadzał liczne ulepszenia. Później pracował w kopalniach złota na Lenie i dał się namówić Dybowskiemu na wycieczkę nad Amur. Poglądy miał pan Michał dosyć oryginalne, bo pozostawał pod wpływem idei księcia Piotra Aleksiejewicza Kropotkina, nazywanego księciem anarchistów. Kropotkina miał Jankowski za sąsiada w okolicach Mohylewa, poznał go osobiście, a jego osobą i ekscentrycznymi poglądami był wręcz zafascynowany.

Teraz polowali w trójkę, a w międzyczasie wezwano Dybowskiego do rodzącej pani Tier, żony dyrektora kopalni złota. Doktorowi przyobiecano hojne wynagrodzenie w wysokości 300 rubli. Dybowski natychmiast wyruszył, bo wobec marnej kondycji finansowej był pan Benedykt zmuszony, by nieco lżej traktować swoje postanowienie o leczeniu za darmo. Przyczynił się do tego walenie list Taczanowskiego, w którym ten donosił, że wobec nadmiaru niektórych okazów, sprzedać ich niepodobna. W tym samym czasie rodzić też miała żona inżyniera górniczego, księcia Gantimurowa. Pierwsza, prześliczna córeczka Gantimurów, miała dłoń straszliwie zeszcpeoną przez cztery nadliczbowe palce tworzące paskudne wyrostki. Dybowski dłoń obejrzał, a że dysponował narzędziami chirurgicznymi, to zaproponował przeprowadzenie zabiegu. Dokonał tego, gdy książę udał się w podróż służbową, bo jako osoba fanatycznie wierząca, był książę wszelkim zabiegom chirurgicznym przeciwny i chciał wszystko pozostawić woli Boga. Oba porody przeszły szczęśliwie, ale pani Tier, która od dawna zachowywała się dziwnie, dostała po porodzie ataku szału, podobnego atakowi wścieklizny i wkrótce zmarła. Książę Gantimurów przesłał później Dybowskiemu gorące podziękowania i 100 rubli.

Koniec roku 1872 przyjaciele spędzali w stancy kozackiej Stary Curuchajtuj nad rzeką Argun. Wybór był nieprzypadkowy, bo nad stanicą odbywały się przeloty stad różnorodnych ptaków. Wolno płynąca rzeka tworzyła liczne zakola i zatoczki, dogodne do połowów fauny

rzecznej. Po stronie zaś chińskiej rozciągały się olbrzymie stepowe przestrzenie. Doktor i tutaj znalazł dziesiątki chorych, a Godlewski z Jankowskim wyprawiali się na polowania także za rzekę, czyli na terytorium chińskie. Straże chińskie napotkali tylko raz, ale składały się z uzbrojonych w łuki Mongołów, którzy pierwszy raz w życiu zobaczyli zapalki. Obdarowani zapalkami i kilkoma innymi drobnymi osiągnięciami cywilizacji, uszczęśliwieni łucznicy odjechali. Podczas jednej z tych transgranicznych wypraw Godlewski otarł się o śmierć. Pod koniec lutego panowała tak piękna pogoda, że wraz z Jankowskim nie zabrali ze sobą namiotu. Wieczorem zaczął wiać budzący grozę wiatr zwany purgą i rozpętała się trwająca całą noc straszliwa zamieć śnieżna. Zaniepokojony Dybowski zorganizował ekspedycję ratunkową złożoną z miejscowych kozaków. Przemarzniętych, na w pół żywych Polaków udało się odnaleźć.

Od czasu do czasu, odwiedzali odległą o kilkadziesiąt wiorst farmę pułkownika Chiłkowskiego. Dobra tego pułkownika, z racji rozległości odpowiadała wielkością średniemu niemieckiemu księstwu, a miał też ów latyfundysta kilka dochodowych fabryk. Pułkownik stanowił typ polskiego szlachcica żywcem przniesiony gdzieś z Wileńszczyzny albo Nowogródziny. Ojciec jego, wysoki polski oficer, wcielony został po powstaniu listopadowym do kozaków i osiedlony na granicy chińskiej. Ożenił się z Sybiraczką, a owocem tego związku był przyszły pułkownik. Kształcony najpierw w szkołach rządowych, a później przez polskich zesłańców posiadał wykształcenie na Syberii niezwykłe. Znał obok rosyjskiego także francuski, niemiecki i polski, a dzięki jednemu z zesłańców zdobył – wprawdzie niepoparte żadnym dyplomem – wykształcenie politechniczne. Nie mniej inteligentne i także wszechstronnie wykształcone były zamieszkujące ogromny dom panie. Pułkownik pozakładał szkoły w stanicach, a wszyscy jego kozacy biegle czytali i pisali. Słabość miał wielką do psów, kotów i koni. Założył przychodnię dla swoich rozlicznych zwierzątek, a wysłużone konie dożywały dni w specjalnie na ten cel wybudowanych stajniach.

Plan wyprawy zakładał początkowo dotarcie do Władywostoku łądem poprzez terytorium chińskie, a przy okazji zbadanie fauny Mandżurii. Władze chińskie odmówiły wydania na tę podróż zezwolenia, więc pozostawał spływ Argunem i Amurem. Jankowski zabrał się energicznie do budowy łodzi, a Godlewski wykuwał w miejscowej kuźni kotwicę oraz wszystkie niezbędne okucia, a także gwoździe. Cała stanica brała udział w dostarczaniu materiału do budowy i choć budowa szła wolno, to efekt był imponujący: dziób był zaostroszony niczym u gondoli; brezentowy daszek umieszczony na zdejmowanych pałkach chronił od deszczu; na maszcie powiewała biało-czerwona chorągiewka; po bokach zaś znajdowały się ni to pływaki, ni skrzydełka służące głównie do poruszania się wzdłuż burt, upodabniające łódź do katamaranu. Majestatyczna jednostka pływająca nosiła nazwę Nadzieja. Pomimo nawału prac skutniczych nie zaniedbywali i ornitologicznych. Do Warszawy wyekspediowali kilkaset okazów i to w większości wysyłanych po raz pierwszy. Spodziewali się otrzymać w zamian ok. 600 rubli, co pozwoliłoby spokojnie myśleć o następnym sezonie.

Trzej dżentelmeni oraz Bars i Waltuś (następca Waltona) odbili od brzegu 9 sierpnia 1873 r., żegnani przez mieszkańców stancyi chóralnym – z *Bohom*. Podróż zaczęła się dość niefortunnie, bo już na pierwszej bystrzycy łódź wpadła w wielki wir i przyparta została do skały. Wiosłowali ciężko, aby wyprowadzić łódź z pułapki, ale choć zdarli ręce do krwi, to

efekt tych wysiłków był żaden. Godlewski pozostał więc u steru, a dwaj pozostali żeglarze wydostali się na brzeg wraz z linami i usiłowali ściągnąć łódź na otwartą wodę. Długo to trwało, ale w końcu nadludzki wysiłek zaowocował sukcesem. To jednak nie był koniec nieszczęść. Wypatrzyli miejsce na brzegu, gdzie było mniej nieco błota niż gdzie indziej i tam postanowili przenocować. W nocy zerwał się wściekły wicher, namiot obalił i zamienił go w balon, a przyjaciele całą noc walczyli, by ich uszkodzone schronienie nie odfrunęło. Wypadek był tym bardziej przykry, że przed ową bystrzycą ostrzegał ich miejscowy kozak o nazwisku Polakow. Ten niemłody już człowiek przepływał kilkakrotnie cały Amur, zwiedzał Chiny i był nawet w Pekinie. Argun, z racji mnogich niebezpieczeństw uznawał za niespławny i jak się okazało – miał rację.

Po kilkudniowych naprawach wyruszyli ponownie w drogę. W Nerczyńsku zostali ostrzeżeni o pewnym niebezpiecznym miejscu na rzece, w którym z życiem rozstało się już wielu śmiałków. Punkt ten znajdował się u ujścia rzeki Bystrej. Rzeka ta wpadała do Argunu pod kątem prostym i z wielkim impetem, rozbijając wszelkie unoszące się na wodzie przedmioty o przeciwny, skalisty brzeg Argunu. Od momentu swej pierwszej przygody nasi żeglarze stali się bardziej ostrożni, więc wzięli na pokład osobnika, który podawał się za doświadczonego sternika, co zjadł zęby, pływając po tamtejszych wodach. Na moment przed dopłynięciem do fatalnego miejsca, przewodnik objął komendę nad załogantami. Za chwilę dał się słyszeć jednostajny grzmot, a potem rozpętało się piekło. Na nic zdało się szaleńcze wiosłowanie, a wszelkie ruchy sterem nie miały znaczenia. Niewidzialna siła niosła łódź ku skałom i nieuchronnej zagładzie. Wynajęty wilk rzeczny skrył się w kącie łodzi, klepał pacierze i żegnał po prawosławnemu. Być może to tym pacierzom wszyscy zawdzięczali ocalenie, bo nagle wypłynęli na spokojne wody. Okazało się, że przewodnik nie miał pojęcia o żeglowaniu i chciał się tylko w miarę szybko, wygodnie i tanio dostać do stacji Ust-Strielka. To, że nie został pogryziony i wyrzucony za burtę, świadczy jak najlepiej o łagodnej naturze pary psów oraz Dybowskiego, Godlewskiego i Jankowskiego. Ba, popłynął nawet obwieś na pokładzie Nadziei do owej stacji.

Od Ust-Strielki płynęli już szybko i bez niepożądanych atrakcji. Na postojach polowali, a w czasie żeglugi podziwiali krajobrazy i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie hordy much i komarów. Owady sprawiły, że poczęli tęsknić za wygodami cywilizowanego życia. Widząc więc wyspę, a na niej zabudowania i ludzi, Godlewski natychmiast skierował łódź ku brzegowi. W jednej z osób stojących na brzegu Dybowski rozpoznał młodego przyrodnika Pucyłłę. Pucyłło jeszcze przed Dybowskim i Godlewskim badał faunę Bajkału i skłaniał się ku opinii, iż jezioro jest niemal martwe. Miejsce okazało się kopalnią złota, a jej dyrektor, inżynier górniczy Baśnin i jego małżonka z radością witali każdego, kto przerywał monotonię pędzonego na odludziu życia. Tematów do rozmowy było bez liku, jako że pani Baśninowa z domu Kandińska, córka najbogatszego kupca Zabajkala interesowała się przyrodą i miała własną kolekcję interesujących okazów. Godlewskiego z Jankowskim pochłonęła gra w kręgle, a inżynier obiecał, że gdyby chcieli wybrać się na Kamczatkę, to jego firma wyłoży okragłą sumkę w zamian za przeprowadzenie badań geologicznych. Panowie przenocowali na łodzi, a nad ranem obudziło ich szczekanie psów. To służący Baśninów przynieśli podróżnikom wykwintne śniadanie, podane na wytwornej zastawie.

Dwukrotnie podczas tej żeglugi spotkali zbiegów z katorgi. Jeden uciekł z cieszącej się złą sławą kopalni karyjskiej. Ku wolności i morskemu wybrzeżu poruszał się na tratwie i powiadał, że na kozackich stanicach wspomagano go jałmużną. Także i nasi żeglarze obdarowali uciekiniera żywnością i tytoniem. Drugi płynął łodzią w kierunku odwrotnym i niestety nie sam, ale w towarzystwie dwóch żandarmów. Nieszczęśnika i konwojentów podróżnicy ugościli posiłkiem.

Wybrali fatalną porę roku do rzecznej żeglugi: brak słońca, przenikliwy chłód, deszcz padający bez przerwy, a później i deszcz ze śniegiem. Płynęli przemoknięci do suchej nitki, bez możliwości wysuszenia czegokolwiek. Zapasów mieli ze sobą moc, ale głównym składnikiem każdego produktu, choćby nawet najstaranniej przed wilgocią chronionego, była teraz woda. W tych warunkach atmosfera gęstniała, bo nawet peregrynujący święci poczęliby spoglądać na siebie spode łba i łatwo byłoby o zwadę.

Do Błagowieszczęńska, stolicy Kraju Amurskiego dotarli po sześciu tygodniach żeglugi. Przemoknięty, zmarznięty, cierpiący na rwę kulszową Dybowski odszukał swego przyjaciela z mińskiego gimnazjum, pułkownika Karola Żołnarkiewicza. Pułkownik oddał do dyspozycji przyjaciół dwa pokoje w swym obszernym mieszkaniu, a jako że był lekarzem i zawiadywał szpitalem wojskowym, to polecił przenieść cały dobytek globtroterów do pomieszczeń szpitalnych i wysuszyć. Gdy rozlokowali się wygodnie, kazał Żołnarkiewicz przynieść samowar, przewyborną czosnkowaną pieczeń baranią i ciepłe bułeczki – po raz pierwszy od wielu dni, na obliczach trzech podróżników pojawił się uśmiech. Miłego rozmówcę znalazł w panu Karolu Jankowski, gdyż okazało się, że obaj byli wyznawcami idei wspomnianego wcześniej Piotra Kropotkina, a dyskusja stała się gorąca, gdy włączył do niej obrońca prywatnej własności Godlewski – namiętności dyskutantów nie przekroczyły jednak pewnych granic.

Świetnie się złożyło, że do miasta przybył kapitan Nikołaj Aleksandrowicz Naumow, naczelnik żeglugi parowej na Amurze. Dybowski poznał Naumowa podczas opisanej już rządowej wyprawy. Wraz z jej członkami gościł na pokładzie okrętu wojennego Ameryka, którego kapitanem był właśnie Nikołaj Aleksandrowicz. Kapitan Naumow bez wahania wręczył trójce przyjaciół darmowe bilety pierwszej klasy na rejs parowcem do Chabarowska i obiecał wzięcie łodzi na hol. W nieco mniej komfortowych warunkach podróżować miały psy, bo w klatkach na pokładzie. Byli jedynymi pasażerami pierwszej klasy, a mało, że karmiono ich wyśmienicie, to Karol Żołnarkiewicz zaopatrzył ich w moc smakołyków. Pogoda była nadal paskudna, a oni mieli dosyć widoku wody, więc przez całą drogę do Chabarowska praktycznie nie wychodzili z kajut na pokład.

Do leżącego u ujścia rzeki Ussuri Chabarowska zawinęli w pierwszych dniach października 1873 r. Dybowski szybko przelatywał w pamięci listę swych znajomych z nadzieją, że także i tutaj znajdą przyjazny dach nad głową. Ciepły kąć zaoferował im pan Rudnicki, posiadacz domu, którego połowa stała akurat pusta. Pan Rudnicki z miejsca ostrzegł przyjaciół, że Chabarowsk to syberyjska stolica bezprawia i na każdym kroku trzeba się mieć na baczności. Ostrzeżenia nie były bezpodstawne, gdyż już pierwszej nocy złodzieje próbowali wyjąć okno w zajmowanych przez nich pomieszczeniach, lecz psy wykazały się czujnością.



Ilustracja 13. Kapitanowie floty amurskiej<sup>56</sup>.

Perspektywy popłynięcia w górę Ussuri zimą były żadne, więc postanowili przezimować gdzieś w okolicy. Należało tylko znaleźć miejsce, z którego mogliby dokonywać ciekawych wycieczek i zbierać okazy. Miejsce dla nich wręcz stworzone naraił im inżynier wojskowy Konstanty Friese. Friese pochodził z osiadłej w Polsce, szwedzkiej rodziny. Mówił po polsku, czytał polskie książki, ale ożenił się z Rosjanką i w zaciszu domowym do cna się zruszczył. Miejscem owym okazała się położona nad Ussuri stacja Kozakiewiczowa, nazwana tak na cześć admirała Kozakiewicza, bohatera Kamczatki. Nie było do niej daleko, gdyż ledwie 40 wiorst od Chabarowska.

Dostać się tam było łatwo, bo parowcem – oczywiście z darmowym biletem pierwszej klasy w kieszeni. Pogoda była wspaniała, a po obu stronach rzeki rozciągały się bezkresne błotne przestrzenie stanowiące raj dla wszelkiego ptactwa. Krajobraz, choć dla zwykłego zjadacza chleba wybitnie niemiły, to ornitologowi zdawał się obiecujący. Niestety, wiosną i latem ten błotny świat stawał się rajem dla miliardów komarów. W Kozakiewiczowej napotykali kolejnych Polaków wiodących na tym krańcu świata całkiem na ogół dostatnie życie. Dzięki plotce szeptanej szybko się dowiedzieli, że wygodne mieszkanie można nająć u pana Karpińskiego. Rodak okazał się warszawiakiem, którego po skończeniu szkoły wzięto do carskiego wojska. Od prostego żołnierza awansował na feldfebla, a wtedy coś tam przeskrobał i został ukarany. Pozbierano tych wszystkich podpadniętych z różnych pułków i wysłano do Kraju Ussuryjskiego, ażeby tam się poženili i zasiedlili kraj. Pożenienie prawosławnych przebiegało podług dość prostego schematu:

Mianowicie ustawiono w jednym szeregu żołnierzy, zaś w drugim prostytutki i inne kobiety, które się zgłosiły na wezwanie satrapy, będąc gotowe poślubić „sztrafowanych” żołnierzy, następnie zakomenderowano zbliżenie się szeregów i żeniono tak, jak los wypadł, łącząc osoby, które stały naprzeciwko siebie<sup>57</sup>.

<sup>56</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *O Syberyi i Kamczatce*. Cz. 1.

<sup>57</sup> Tamże, s. 449.

Polscy katolicy sami mogli wybrać żony. Karpiński, stojąc jako feldfelbel na czele jednej z grup wysłanych nad Ussuri świeżo upieczonych żonkosiów, znalazł sobie po drodze dobrą, pracowitą Sybiraczkę i w końcu osiadł w Kozakiewiczowej. Sam wykształcił się na stelmacha i kołodzieja, a że z doskonałego syberyjskiego drewna, koła robił wyśmienite, to zarabiał sporo. Dom miał porządny, a dwa z czterech pokoi wynajmował. Dorobił się też trójki dzieci i ani myślał o powrocie do kraju. Gospodarz, gospodyni i trójka dzieci okazali się bardzo sympatyczni, a dom wręcz wymarzony do zamieszkania i prowadzenia badań naukowych. Uradzili, że płacić będą po 5 rubli miesięcznie od osoby, nie licząc psów, a za gotowanie obiadów, nastawianie bielizny i pranie bielizny zapłacą osobno podług umowy z panią Karpińską. Mąż jej był zapalonym myśliwym znającym okolicę niczym własną kieszeń.

Kozakiewiczowa leżała na wysokim prawym brzegu Ussuri. Poza wojskiem było tu jeszcze 363 mieszkańców. Najbardziej okazałym budynkiem był oczywiście dom naczelnika kozaków ussuryjskich pułkownika Nikołaja Glena i jego małżonki Aleksandry. Kolejni reprezentanci miejscowej elity to rodzina Czaplejewskich oraz kapitan Nikołaj Bayer z małżonką. Był jeszcze pan Wasilewski, który ze zmiennym szczęściem i zwykle miernym rezultatem miał się przeróżnych interesów<sup>58</sup>. Wszyscy niezmiernie ucieszyli się z przybycia gości, żywiąc nadzieję, że podczas nadchodzącej zimy będą uczestnikami ich spotkań towarzyskich i rozrywek. W stancy panował rzadko spotykany gdzie indziej porządek, co było zasługą słynącego ze swej uczciwości i prawości pułkownika. Brakowało tutaj analfabetów, co z kolei było zasługą, prowadzącej szkółkę pułkownikowej. Pod dostatkiem było za to zwierzyny, więc prawie wszyscy mężczyźni polowali. Co ciekawe, z braku mleka miejscowego używano w Kozakiewiczowej amerykańskiego mleka skondensowanego. Nieliczna, ale sympatyczna elita żyła zgodnie, założono biblioteczkę, prenumerowano prasę. Organizowano też odczyty, w których czynny udział brali trzej przyjaciele – Godlewski miał wykłady o szczepieniu róż i drzew owocowych.

Wróćmy na chwilę do Czaplejewskich, bo znajomość z nimi okaże się ważna dla dalszych losów wyprawy. Głowami tego rodu byli panowie Tadeusz i Kajetan, synowie Polaka i Sybiraczki. Tadeusz był adiutantem pułkownika Glena, a Kajetan miał własną kopalnię złota na wyspie Askold pod Władywostokiem. Kopalnię wydzierżawił pewnemu towarzystwu akcyjnemu, a to z kolei towarzystwo, jako że kopalni posiadało kilkadziesiąt, to zaproponowało energicznemu Czaplejewskiemu objęcie zarządu nad kilkoma z nich. Pan Kajetan nie miał specjalnej ochoty na objęcie tej posady i szukał kogoś obrotnego, a zarazem uzdolnionego technicznie na zastępstwo. Dybowski natychmiast pomyślał o coraz bardziej markotnym Jankowskim, który najwidoczniej miał już dosyć żeglugi i poniewierki po dziczy. Niezwykle ciekawą osobą była pani Olga, żona Kajetana. Była to kobieta młoda, miła, wesoła, a poza tym ukończyła szkołę dla telegrafistów i do momentu zamążpójścia, pracowała na stacji

---

<sup>58</sup> Ojciec Wasilewskiego był polskim lekarzem w Krasnojarsku, matka zaś Rosjanką. Ojciec wcześniej obumarł i Wasilewski po polsku nie mówił. Wyjechał do Petersburga, aby studiować na tamtejszym uniwersytecie i z jakichś powodów został uwięziony. Po zwolnieniu powrócił do Krasnojarska z zakazem osiedlenia w europejskiej części Rosji. Miał się przeróżnych zajęć, aż wreszcie dotarł do Kozakiewiczowej. Michał Jankowski po objęciu posady zarządcy kopalń złota załatwił Wasilewskiemu pracę magazyniera. Zebrawszy na tej posiadzie nieco grosza, przygotowywał się do zdania egzaminu, wymaganego od kandydatów na oficerów kozackiego wojska.



telegraficznej w Chabarowsku. Pani Olga była też namiętną narciarką i żaden z cywilnych i wojskowych mieszkańców stancy, nie potrafił poruszać się sprawniej na nartach.



Ilustracja 14. *Emberiza godlewskii*, czyli gatunek trznadla, o nazwie pochodzącej od nazwiska tytułowego bohatera tej opowieści

Źródło: Jargal Lamjav from Ulaanbaatar, Mongolia, CC BY 2.0 <<https://creativecommons.org/licenses/by/2.0/>>, via Wikimedia Commons.

Już od początku grudnia 1873 r. przyjaciele zaczęli organizować regularne wycieczki celem zdobycia okazów fauny. Doktor nie brał w większości udziału, gdyż i tutaj mógł liczyć swych pacjentów na kopy. W czasie jednej z wypraw tak potrzebny przyjaciołom namiot, uległ poważnym uszkodzeniom i zdawało się, że stracili swe połowe schronienie. Tadeusz Czaplejewski zabrał potajemnie namiot do koszar, po czym poprosił pułkownika Glena o wybrakowanie teoretycznie zjedzonego przez mole sukna mundurowego. Urządzono aukcję, pan Tadeusz sukno zakupił, pokrycie wymienił, zreperował wszelkie inne uszkodzone elementy, dorobił mały piecyk i tak wspaniałe dzieło podarował przyjaciołom na wigilię.

Podczas jednej z ostatnich grudniowych wycieczek Godlewski dostał silnych bólów podudzia, a część jego ciała została sparaliżowana i ledwo zdołano go dowieźć do domu. Dybowski rozpoczął kurację, lecz choroba ustępowała powoli. Do końca roku pozostał pan Wiktor w domu, odwiedzany przez licznych znajomych, a panie umilały mu życie, przynosząc i podsyłając przeróżne delikatesy. Sam zaś Godlewski, nie będąc stworzonym do próżniactwa, szył dla całej trójki letnie ubrania z materiału podarowanego przez Czaplejewskiego. Wciąż wzywany do chorych Dybowski praktycznie zaprzestał wycieczek.

Nowy rok 1874 zapowiadał się pomyślnie, przynajmniej pod względem finansowym: praktyka lekarska przyniosła doktorowi 100 rubli; wraz z pierwszą pocztą i masą listów od znajomych i krewnych otrzymali z Warszawy 700 rubli za przesłane okazy; 240 rubli uzyskano w Chabarowsku za trofea zdobyte w okolicach Kozakiewiczowej. Przyjaciele podzielili się po równo kapitałem wystarczającym na nowy sezon badań.

Na Wielkanoc, długo pozostający w rozjazdach służbowych Kajetan Czaplejewski powrócił do domu i oświadczył, że nadszedł czas podjęcia decyzji o objęciu funkcji zarządcy kopalń przez Jankowskiego. Dybowski dopiero teraz, gdy sprawa była już pewna, poinformował o tej



propozycji pana Michała. Jankowski przyjął ofertę z radością, bo choć szczegółowych warunków umowy nie znamy, to wynagrodzenie zasługiwało ponoć na miano ministerialnego. Stosunki pomiędzy przyjaciółmi musiały być napięte, skoro Godlewskiemu nie udało się ukryć uśmiechu na wieść, że Jankowski opuści ich towarzystwo. Wyprzedzając nieco wypadki, dodam, że pan Michał: ożeni się z Sybiraczką; dzięki zgromadzonemu w kopalniach kapitałowi stanie się właścicielem dużej farmy i wielkiego domu w Sławiance koło Władywostoku; anarchizm, nihilizm i komunizm ostatecznie wywietrzeją mu z głowy. Dom przypominał warownię, a rezydowanie na pograniczu z Chinami, przebiegało niczym życie wielkich, amerykańskich ranczerów na pograniczu z Meksykiem. Na czele własnego hufca zbrojnych będzie toczył z boje z chunchuzami<sup>59</sup>, którzy pustoszyli rosyjskie rubieże, a bydło i konie uprowadzali ku granicy. Nadal będzie zbierał okazy przyrodnicze i pozostawał w bliskich kontaktach z Godlewskim i Dybowskim, ale niestety, podobno pod wpływem żony mocno zruszczeje. Czytając fragmenty listu, w którym pan Michał opowiada przyjaciołom, jak sobie wybierał małżonkę, łatwo zrozumieć, że twardo stąpał po ziemi i nie był stworzony do zbyt długich naukowych wypraw:

Teraz wedle waszego życzenia, nakreślę Wam okoliczności towarzyszące mojej żeniączce, tylko uprzedzam, że romantyzmu nie oczekujcie, bo, czy niestety? nie było! Ja zamierzałem ożenić się, żeby mieć dobrą i rządzą gospodynię na projektowanej fermie, żeby przy tem nie była starą i brzydką, żeby miała wielkie zalety serca, rozsądek zdrowy w głowie, była przywiązaną i wierną żoną, czułą matką, dobrą dla sług, ażeby lubiła moje psy i moje zajęcie. I co najgłówniejsze, ażeby na odszukanie tego skarbu i na wstępne zaloty nie tracić wiele czasu<sup>60</sup>.

Rozpoczynając się w dopiero maju wiosnę, Dybowski z Godlewskim przywitali już tylko we dwójkę i prawie do końca czerwca byli rzadkimi gośćmi w stancy, bo zaplanowali zebrać do sierpnia co najmniej 400 okazów. Raptem, pod koniec czerwca zapadł pan Wiktor na zdrowiu. Cierpiał już od dłuższego czasu, ale lekcewałzył symptomy i taił swój stan przed przyjacielem. W pewnym momencie nie był już w stanie niczego ukrywać i wyznał Dybowskiemu cały przebieg choroby. Diagnoza nie była trudna do postawienia i brzmiała – ciężki przypadek czerwonki. Czerwonka grasowała w Kozakiewiczowej, ale żaden z pacjentów doktora nie zszedł z tego świata. Chory bardzo powoli dochodził do zdrowia, ale nie chcieli, by zima zatrzymała ich nad Ussuri, więc postanowili kontynuować podróż na wschód. Dybowski miał także nadzieję, że morskie powietrze dobrze wpłynie na zdrowie przyjaciela. Decyzja zbiegła się z nadejściem rozkazu z Władywostoku, by z Kozakiewiczowej wysłać oddział kozaków dla zwiększenia ochrony kopalń złota na wyspie Askold przed chunchuzami. Jako że cel podróży przyjaciół i kozaków był identyczny, to pułkownik Glen zaproponował, aby Dybowski z Godlewskim objęli komendę nad kozackim oddziałem, bo w zmysł praktyczny swego kapitana nie wierzył i bał się, że ludzi swych po drodze pogubi, a może i zagłodzi. Łatwo zrozumieć wątpliwości pułkownika, gdy choćby pobieżnie prześledzi się karierę kapitana.

<sup>59</sup> Chunchuzami nazywano chińskich rozbójników działających na chińsko-rosyjskim pograniczu. Zdarzało się, że gromadzili się w kilkutyśięczne grupy, po czym napadali, a nawet okupowali całe miasta.

<sup>60</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 435, 436.

Ten dziedzic sporej fortuny wstąpił do gwardyjskiego pułku kawalerii, gdzie odznaczył się jako tęgi hulaka: pił, łajdaczył się, trwonił pieniądze, a w końcu, w stanie zamroczenia ożenił się ze śliczną cyganką. Ocknął się, dopiero gdy funduszy mu zbrakło, a nikt już nie chciał pożyczyć młodemu oficerkowi pieniędzy. Za długi przeniesiono go nad Ussuri. Nigdy nie strzelał, ambicji nie miał i jedyne ukojenie znajdował w wieczornej gorzałce. Cichego i pokornego Bayera wszyscy bardzo lubili, ale pieniędzy woleli mu nie pożyczać i do ręki nie dawać. Tak to słabostki kapitana zapewniły naszym bohaterom ochronę w podróży oraz darmowe bilety pierwszej klasy na parostatek, co było ważne, bo do wiosłowania w łodzi Godlewski wciąż się nie nadawał. Wszystko układało się jak najpomyślniej, a jeszcze pan Michał nadesłał list, w którym zawiadamiał, że rozporządza szkunerem Razbojnik i przyśle ten statek do Władywostoku, by pan Wiktor mógł dokończyć rekonwalescencję na wyspie.

Pożegnania przebiegały w potokach łez i nie krył ich nawet pułkownik Glen. Podróż parostatkiem odbywała się w żółwym tempie, bo z powodu katastrofalnych powodzi, rzeka przypominała ogromne jezioro, trudno było ustalić szlak wodny i wciąż należało sondować dno. Zmagając się z plagą komarów, wpłynęli na jezioro Chanka, które z racji, że było miejscem gniazdowania wielu gatunków ptaków, uznał Dybowski za niewiele mniej interesujące od Bajkału. Jezioro jest prawie 40 razy większe od naszych Śniardw, więc wystarczająco duże, aby pasażerów płaskodennego parowca, przyprawić przy wysokiej fali o morską chorobę. Nie sposób było leżeć w łóżku, więc po kilku upadkach na podłogę kajuty, Godlewski już na siedząco znosił katusze.

Wreszcie, po długim i wyczerpującym rejsie przez Chankę, przybili do nabrzeża w miejscowości Kamień Rybołów. Przypadkowym towarzyszem podróży był generał Simonow, na którego przybycie czekał już naczelnik wspomnianej miejscowości major Nożyn. Generał oznajmił majorowi, że jego nowi znajomi są członkami rządowej wyprawy badawczej, a pod ich opieką znajduje się także oddział kozaków. Nie trzeba więc było okazywać wspomnianych złoconych dokumentów, aby major zaopiekował się kozakami, bagażami, a przyjaciół zakwaterował w stacji pocztowej i zaprosił do siebie na obiad, gdy tylko wypoczną po podróży. Na pustej chwilowo stacji zastali jedynie gospodynię pełniącą też rolę bufetowej. Migiem przygotowała dla chorego Godlewskiego rosół z bażanta, a dla Dybowskiego gigantyczny pierog z łososiem i naleśniki.

Wieczorem, Dybowski zostawił swego wciąż osłabionego przyjaciela i udał się w odwiedzinę do Nożynowa. Zastał tam towarzystwo wyjątkowo wesołe, bo okazało się, że zarówno naczelnik, jak i podlegający mu oficerowie przebywali w Kamieniu Rybołowie bez żon. Poczęstunek był przedni, a później przy kawie, herbacie, a w przypadku oficerów sporej ilości alkoholu, wysłuchał doktor wielu pikantnych historyjek oraz wykładu generała Simonowa o „naturze kosmosu”. Po powrocie na stację pocztową zastał tam istne piekło. Godlewski zabarykadował się w swym pokoju, a wszystkie pozostałe pomieszczenia zapełniły się tłumem dam podróżujących wraz z dziećmi. Całe to towarzystwo było przemoczone, ubłocone i z twarzami obrzękłymi od ukąszeń komarów. Bosonogie, rozneglizowane ze względu na suszącą się odzież damy, wymyślały na wszystkich i na wszystko z użyciem słów godnych rysztoła. Prym w rzucaniu przekleństw i rozbijaniu w złości naczyń wiodła pewna popadia. Komunikację ze światem zewnętrznym zapewniało naszym obiężyświatom nisko położone okno.

Za czas najdogodniejszy do podróży uznawano na Syberii zimę. O jesieni i wiosnie nawet nie myślano, bo błota były nie do przebycia. W czerwcu drogi i mosty zwykle naprawiano, więc teoretycznie dogodnymi do podróżowania miesiącami były jeszcze lipiec i sierpień, ale upał, częste burze oraz roje komarów, muszek i pcheł czyniły tę porę roku do podróży nieznośną. Tamtego roku, jesień nadeszła bardzo wcześnie, a woda lała się z nieba strumieniami. Woda pozrywała mosty, porwała promy, a drogi zamieniła w trzęsawiska. Podróż zaplanowana na tydzień, trwała miesiąc i dłużej, a stacje pocztowe zapełniły się wściekłymi podróżnymi. Zresztą drogi i mosty zazwyczaj były w stanie fatalnym, więc podróż często i bez dopustu niebios przypłacano chorobą, a nawet i życiem. Na każdej stacji wyłożona była wprawdzie księga zażaleń i tam można było zapisywać swe skargi, lecz miała ta księga znaczenie czysto terapeutyczne, gdyż nikt jej nie czytał. Nic dziwnego, że zanim skorzystano z usług transportowych rosyjskiej poczty, zwykle długo stano przed świętymi obrazami i zapalano liczne świece.

Urzednicy pocztowi byli najczęściej Bogu ducha winni i nie dziwota, że stykając się całymi dniami z rozzłoszczonymi podróżnymi, wielu popadało w alkoholizm. Tym bardziej że sporo osób wyżej postawionych, a szczególnie oficerów, zamiast wylewać swe żale do księgi, łajało urzędników bez litości, a nawet biło. Przewalski, opowiadając o swych podróżach po Syberii, nie ukrywał, że obsobaczył ich dziesiątki, a kilku obić.



Ilustracja 15. Kamień Rybołow<sup>61</sup>.

Pomimo że dokumenty naszych bohaterów upoważniały ich do otrzymania koni i powozów poza kolejnością, to w panującym rozgardiaszu było o nie trudno. Po dłuższych staraniach udało się załatwić ledwie dwa pocztowe tarantasy. Dybowski z Godlewskim mieli podróżować jednym, w drugim jechać miały bagaże ich i kozaków, ci zaś iść mieli pieszo. Podróż do Władywostoku zapowiadała się więc paskudnie. Aby nie budzić śpiących harpii, podróż rozpoczynali w warunkach konspiracyjnych. Dwa tarantasy podjechały nad ranem pod okno, a kozacy cichutko, na paluszkach niczym baletnice poprzenosili bagaże.

<sup>61</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *O Syberii i Kamczatce. Cz. 1.*

Droga była istnie krzyżowa, stacje pocztowe zrujnowane, najmniejszy strumyk urósł do rangi rzeki, a gdy dotarli do rzeki Mo<sup>62</sup>, to zapowiadało się, że utkną tam na długo. Po drugiej stronie szeroko rozlanej rzeki zobaczyli wprawdzie prom, ale przewoźnicy nie chcieli go udostępnić z powodu jakichś pretensji do majora Nożyna. Dopiero dwaj młodzi, dobrze umiejący pływać kozacy przepłynęli rzekę, a po krótkiej bitwie na pięści zdobyli i uprowadzili prom. Z kolei podczas przeprawy przez rzeczkę Dubienkę, na której woda zerwała most, potracili przyjaciele znaczną część swych zbiorów i notatek. Po tej pełnej niebezpieczeństw podróży dotarli wreszcie do rzeki Suifung<sup>63</sup>, a stąd popłynęli parowcem do Władywostoku.



Ilustracja 16. Władywostok<sup>64</sup>.

Nic dziwnego, że gdy 10 czerwca 1874 r. ujrzeli zabudowania Władywostoku, to przywitali miasto okrzykiem radości. Tutaj, w niewielkim, ale malowniczo położonym domku mieszkał Michał Kisielewski, kolega Dybowskiego z mińskiego gimnazjum. Kisielewski pełnił obowiązki policmajstra i dowódcy batalionu piechoty. Kozacy odmaszerowali do koszar, a Godlewski z Dybowskim rozgościli się w domku policmajstra. Dla pozostającego na diecie pana Wiktora był to ciężki okres, bo sybaryta Kisielewski cenił wygody oraz zwykł jadać obficie i smacznie. Nasz tytułowy bohater przeżywał istne katusze, gdy patrzył na gospodarza domu pochłaniającego krewetki, homary, kraby, ostrygi. Wszystko zaś popijał sporymi ilościami niezłego wina. Nową znajomość zawarł także Waltuś, który całymi dniami bawił się z oswojoną niedźwiedziczką Kisielewskiego.

Jankowski radził, aby po przybyciu do miasta, udali się do zakładu fotograficznego prowadzanego przez Karola Szultza<sup>65</sup>, jednego z licznych osiadłych w mieście Finów, człowieka sympatycznego, uczynnego i wielce ustosunkowanego. Dybowski zastał w zakładzie Mieczysława Wolskiego, niegdyś polskiego oficera, który odkrył na Syberii, iż jest

<sup>62</sup> Obecna rosyjska nazwa to Melgunowka.

<sup>63</sup> Obecna rosyjska nazwa to Razdolnaja.

<sup>64</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *O Syberii i Kamczatce. Cz. 1.*

<sup>65</sup> Karol Szulc studiował farmację, a zwabiony obietnicą odnalezienia raju na wschodnich krańcach Azji wybrał się w rejs okołoziemski z wyprawą admirała Johana Hampusa Furuhsjelm. Na statku stanowiącym swoistą arkę, pełną różnego typu specjalistów wyuczył się zegarmistrzostwa i fotografii. Ożenił się z przybyłą do Władywostoku szwedzką guwernantką.

utalentowanym rysownikiem i pracował u Szultza jako mistrz retuszu. Wkrótce do towarzystwa dołączył Ruzin, urzędnik z kopalni złota, a w wolnych chwilach socjalista<sup>66</sup>. Całą trójkę zaprosił Dybowski do domu Kisielewskiego na obiad, aby poznali niezwykłego człowieka, czyli Godlewskiego. Obiad przeciągnął się do kolacji, a spotkanie umilała muzyka, dobiegająca ze stojących w porcie okrętów. Towarzystwo było doborowe, pogoda wspaniała, morskie powietrze sprzyjało zdrowiu, więc nic dziwnego, że Godlewskiemu niemal z godziny na godzinę powracały siły, apetyt, twardy sen i dobry humor. Pochłaniał ogromne ilości potraw przygotowywanych przez gospodynię Kisielewskiego: blinów, naleśników, pieczeni z jelenia, kawioru czarnego jesiotrowego i białego z ryb łososiowatych, pierogów z farszem rybnym, a na deser całe kosze owoców.

Podczas gdy Dybowski zwiedzał okolicę, to pan Wiktor, szukając ujścia dla nadmiaru energii, chadzał codziennie do zakładu Szultza i tam pomagał przy pracy. We Władywostoku wszystko szło jak po maśle, a obaj przyjaciele nieomal się w tym mieście zakochali, ale właśnie tutaj trafiła kosa po raz pierwszy na kamień. Jak pamiętamy, wszystkie opatrzone wspaniałymi imperialnymi pieczęciami i złożonymi okładkami paszporty, przepustki i listy polecające czyniły piorunujące wrażenie na rosyjskich urzędnikach. Kamieniem nieczułym na ten stosik dokumentów okazał się dowódca portu wojennego Afanasjew. Dybowski udał się do tego wszechmocnego człowieka z prośbą o udostępnienie łodzi niezbędnej do badań. Po cichu liczył także na pozyskanie niezbędnego sprzętu badawczego, a nawet jakichś funduszy. Afanasjew przejrzał dokumenty obojętnie, po czym bez oznak zainteresowania wysłuchał przemowy Dybowskiego o doniosłości planowanych badań. Na koniec Afanasjew stwierdził, że służyć pomocą nie może, a jeśli inne władze chciały pomóc badaczom, to winny na ten cel wyłożyć własne środki, a nie rozporządzać funduszami marynarki wojennej. Badaniami zaś głębin morskich marynarka się nie zajmuje, bo w sferze jej zainteresowań leżą tylko mielizny. Morską florą i fauną też się marynarka specjalnie nie interesuje, a zresztą, jeśli nie dzisiaj, to za lat kilka przyjadą tu Anglicy, Francuzi lub Niemcy i wszystko przebadają za darmo.

Wcześniej, Dybowski poważnie rozważał podjęcie we Władywostoku badań fauny morskiej, ale bez pomocy ze strony marynarki było to bezcelowe. Ledwo wrócił do Kisielewskiego, a okazało się, że właśnie przyplłynął do miasta szkuner, którym rozporządzał Jankowski. Szultz znał wszystkich, nie wyłączając Johansona, fińskiego kapitana tej jednostki. Zaprosił go więc do siebie, by poznał Dybowskiego i Godlewskiego. Johanson był kolejnym oryginałem z ich niezliczonego syberyjskiego legionu. W rejonu te przybył, gdy opłynął świat wraz z wyprawą admirała Johana Hampusa Furuhjelma, także Fina, ostatniego gubernatora rosyjskiej Alaski. Dybowski na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim tęgiego pijaka, a w swej opinii jeszcze się utwierdził, gdy na koniec każdej ze swych awanturnicznych opowieści gadatliwy Johanson, nie omieszkawszy dodawać, że był podczas tych wydarzeń kompletnie pijany. Johanson wspominał, że jego rodak, kapitan żeglugi Friedolf Höck, właśnie kończył budowę domu na wybrzeżu zatoki Strielok i mógł odstąpić chiński domek położony koło nowo wybudowanej rezydencji. Tuż

---

<sup>66</sup> Urodzony nad Leną w rodzinie włościańskiej nauczył się czytać od polskiego zesłańca, a później był samoukiem i z prostego robotnika wydzwignął się sam do funkcji wyższego urzędnika. Ożenił się z nauczycielką, a po krótkim czasie wyjechał do Ameryki, skąd wkrótce nadeszły wieści, że zginął od kuli rewolwerowej. Dybowski przypuszczał, że Ruzin sam to zmyślił, chcąc uwolnić małżonkę od więzów małżeńskich.

koło zatoki Strielok leżała wyspa Putiatina, a za nią wyspa Askold, oddalona od posiadłości Höcka ledwie o 13 wiorst, czyli jak na tamtejsze stosunki o rzut kamieniem.



Ilustracja 17. Od lewej: Tadeusz Czapplewski, Michał Jankowski (stoi), Friedolf Höck, Karol Schultz i pies Bars<sup>67</sup>.

Na Askold wypłynęli już dnia następnego. Jankowski podpłynął do szkunera chińską dżonką i serdecznie przywitał przyjaciół, ale najradośniejsze było spotkanie Barsa z Waltusiem. Godlewski zrobił szybki rekonesans po wyspie, a jej góry i lasy wprawiły go w zachwyt. Po komarzym piekle nad Amurem i Ussuri wyspa okazała się rajem pozbawionym tych bestyjek, co nie znaczy, że nie było innych interesujących, w dużej części wciąż nieopisanych owadów. U Jankowskiego poznali owego Friedolfa Höcka, a ten potwierdził, że mogą zostać sąsiadami. Przyjaciele przystali na propozycje kapitana, a dni dzielące ich od powrotu na stały ląd, poświęcili badaniom przyrodniczym.

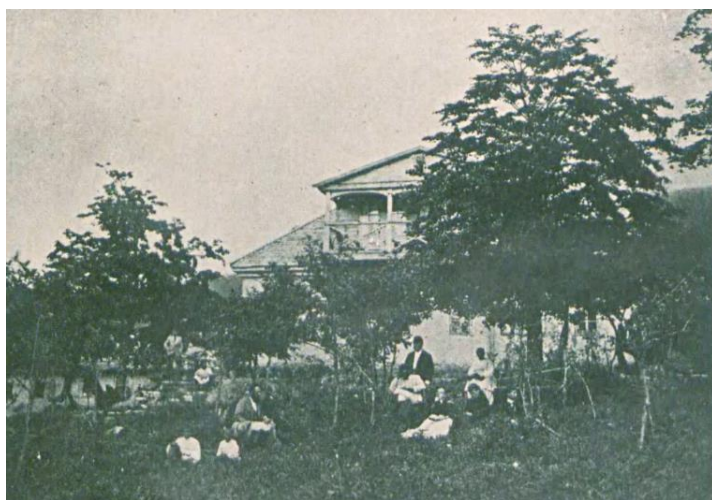
Na wyspie przebywali do końca września, a z początkiem października popłynęli do zatoki Strielok. Chiński domek zwany fanzą, choć niewielki to posiadał piec i murowany komin. Był ciepły i tym samym idealny na spędzenie w nim zimy. Domek wymagał pewnych napraw, ale z pomocą pewnego Chińczyka szybko uporał się z nimi Godlewski. Chińczyk miał nieco osobliwe zwyczaje. Wszystkich, dla których pracował, nazywał kapitanami i tak Godlewski został „kapitanem, kapitanem” a Dybowski „doktorem kapitanem”. Dostawał za swoją pracę 5 rubli miesięcznie i codziennie przed poobiednią sjestą palił opium, ale nie szkodziło to jego pracy. Poza Höckiem i Johansonem mieli przyjaciele za sąsiadów jeszcze kilku Finów oraz kilkudziesięciu Chińczyków pracujących dla Höcka.

Godlewski stał się towarzyszem Höcka podczas morskich polowań na przysmak Chińczyków, tłuste ryby zwane głowaczami. Na początek Dybowski musiał się w pełni poświęcić obowiązkowi lekarza, bo pośród zamieszkujących wybrzeże Chińczyków wybuchła epidemia

<sup>67</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*



ospy. Z braku gotowej szczepionki, wykonał własną, tzw. krowiankę, którą nauczył się sporządzać jeszcze w Dorpacie. Działała skutecznie, ale Chińczycy stanowiący większość mieszkańców wyspy odmówili jej przyjmowania. Pomimo ich uporu doktor uporał się z epidemią, a mając teraz więcej wolnego czasu, spędzał go z Höckiem. Grali w szachy i godzinami dyskutowali, bo Höck okazał się wyjątkowo interesującym rozmówcą. Karierę na morzu zaczynał jako chłopiec okrętowy i szybko piał się w górę, wykazując zdolności w wielu dziedzinach. Był biegłym tokarzem, ślusarzem, stolarzem, kowalem, rusznikarzem, murarzem, sam krył dachy i budował łodzie. Był też demokratą, wolnomyślicielem, człowiekiem odczytanym, znającym poza szwedzkim i fińskim także angielski. Po rosyjsku i chińsku także potrafił się porozumieć, ale kaleczył te języki paskudnie.



Ilustracja 18. Dom wybudowany przez Michała Jankowskiego na wyspie Askold<sup>68</sup>.

Przyjaciele odwiedzili kilka razy pod żaglem lub wiosłując wyspę Askold, na wyspę zaś Putiatina przechodzili zimą po lodzie. Dwukrotnie te wyprawy, omal nie zakończyły się tragicznie z powodu gwałtownego załamania pogody. W pobliżu swej chatki mieli kilka ławic ostryg. Przyrządzali je na najróżniejsze sposoby i smakowały ponoć wybornie. W wielkich ilościach występowały także krewetki oraz kraby, które służyły zarówno celom badawczym, jak i spożywczym. Po jakimś czasie kraby całkowicie im się przejadły, ostrygi tylko trochę, natomiast krewetki z chęcią zajadali niemal codziennie.

W końcu lutego nadszedł list z Irkucka, a w nim wiadomość, że na adres tamtejszego oddziału Towarzystwa Geograficznego przysłała informacja z Petersburga, iż Dybowski, Godlewski i Jankowski otrzymają prawo powrotu do Królestwa Polskiego ze wszystkimi prawami, które przysługują mieszkańcom tej części imperium. Ewentualną radość studziła notatka, że należy jeszcze załatwić przeróżne formalności, a to może potrwać. Reakcja każdego z przyjaciół była odmienna. Godlewski wręcz oszalał z radości, podczas gdy Dybowski przyjął tę informację ze stoickim spokojem, a może nawet z nutką smutku, gdyż oceniał, że ma na tym krańcu Azji jeszcze wiele do zrobienia. Jankowski zaś oświadczył, że tutaj urządził sobie życie, tutaj ma rodzinę i ani myśli wracać.

<sup>68</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*

Dybowski był od tego momentu w ciągłym ruchu: wędrował, polował, opisywał okazy ze zdwojoną energią. Świadom był bowiem, że zbliża się moment wyjazdu Godlewskiego do Irkucka, a nie wyobrażał sobie prowadzenia badań bez jego pomocy. W pobliskich zatokach dokonywali połowów fauny morskiej. Ekspozyty wysyłali do Warszawy, tam jednak brakowało specjalistów od biologii morza, więc przesyłano je dalej do Wiednia. W otrzymanych przesyłkach wiedeńczycy zdołali odnaleźć dwanaście nieznanych jeszcze gatunków. Do Warszawy wysłano też wielką ilość próbek mięczaków. Pan Wiktor stał się wręcz ekspertem w dziedzinie malakozoologii: „Taczanowski, gdy wróciliśmy z Syberii do Warszawy, podziwiał tę wiedzę malakozoologiczną Godlewskiego i chciał koniecznie, ażeby Godlewski zajął się opracowaniem naukowym; w tym celu cały zbiór trzymał u siebie, następnie oddał Godlewskiemu do ułożenia”<sup>69</sup>. Niestety, praca badacza poszła na marne, bo spadkobiercy Godlewskiego, zwrócili tylko część tych zbiorów, a większość zachowali jako pamiątkę po zmarłym.

Z wiosną rozkwitło także życie towarzyskie. Statki patrolowe rosyjskiej floty często zapuszczały się do zatoki Strielok, a oficerowie z chęcią schodzili na ląd i odwiedzali nie tylko rezydencję Höcka, ale i skromne domostwo Polaków. Pośród tych oficerów był szturman Jakimow i lejtant Kołczuk. Ten ostatni ożenił się z Kamczadałką i już choćby z tego względu dużo wiedział o Kamczatce. W ramach rewizyty oficerowie zapraszali przyjaciół na biesiady i przyjęcia organizowane na okrętach. Oficerowie opowiadali wiele pasjonujących historii, w tym również o Kamczatce. Dybowski chwycił każde słowo i począł marzyć o wyprawie na półwysep. Do wyprawy na Kamczatkę namawiał także Godlewskiego, lecz ten był nieugięty i obstawał przy powrocie do Irkucka, a później do kraju. Pan Wiktor zapalił się natomiast do wyprawy do Japonii, ale gdy sobie porachował, że taka wyprawa opóźniłaby powrót do Irkucka przynajmniej o rok, to jego zapał wyparował. Nasz tytułowy bohater wyraźnie przeczył teorii, którą wielu zesłańców uważało za dowiedzione prawo, iż kto raz zakosztował życia na Syberii, temu Europa stawała się za ciasna.

U schyłku sierpnia przyszedł czas pożegnania z nadmorskimi okolicami. Dybowski marzył w momencie wyjazdu tylko o powrocie i podróży na Kamczatkę. Kisielewski załatwił im przejazd pocztowymi tarantasami z Władywostoku do Kamienia Rybołowa po cenie niżkowej, przysługującej urzędnikom państwowym, a na żeglugę znad jeziora Chanka do Chabarowska zaopatrzył podróżników w darmowe bilety. Początek drogi powrotnej wyglądał zupełnie inaczej niż tej do Władywostoku. Godlewski był okazem zdrowia, pogodna była piękna, drogi znośne, a na stacjach zawsze czekały świeże konie pocztowe. Mknęli więc ku jezioru Chanka prawie bez przystanków, posilając się w drodze herbatą i zimnymi zakąskami.

W Kamieniu Rybołowie stał już pod parą statek Smugacz i czekał na swych jedynych pasażerów. Kabiny pierwszej klasy były wygodne, jezioro Chanka spokojne, pogoda dopisywała i tylko owady nie złożyły bronii. Było to tym bardziej uciążliwe, że podczas bytności nad morzem odwykli od tych dokuczliwych stworzeń. W Kozakiewiczowej zastali wszystkich w świetnych nastrojach i w dobrym zdrowiu. Tadeusz Czaplejewski zakupił w międzyczasie

<sup>69</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 575.



mały statek napędzany kołem bocznym, po czym koło zastąpił własnego pomysłu napędem śrubowym. Tym nowoczesnym statkiem przyjaciele wyruszyli w dalszy rejs.

W Chabarowsku zamieszkali u polskich zesłańców, którzy dostali posady w towarzystwie żeglugowym. Goszczący ich Polacy, wystarali się także o darmowe na rejs po Amurze i Szyłce, ale z powodu natłoku pasażerów, były to bilety drugiej klasy, co nawykłych już do komfortu podróżników nieco skonfundowało, gdyż wiązało się z koniecznością podróżowania w wieloosobowej kajucie. Było to tym bardziej uciążliwe, że jedyną rozrywką pasażerów tej kajuty, była całodobowa gra w karty, a kart nienawidził Dybowski nie mniej niż alkoholu. W dodatku pośród miłośników kart nie brakowało zawodowych szulerów. O zgrozo, okazało się, że i Godlewski nie stroni od karcianych maratonów. Pocięcha była jedyna, że nie pograżył się całkowicie w hazardzie. Codziennie przegrywał jakieś małe kwoty, ale że od mety rejsu, czyli Strieteńska dzieliło ich 2200 wiorst to mogła się z tego łączyć pokaźna sumka. Harmider panował dnie i noce nieopisany, więc Dybowski nie mógł zmrużyć oka. Powietrze pełne było smrodliwego, tytoniowego dymu, zatem pan Benedykt czuł się jakby go ktoś żywcem wędził i z trudem oddychał. Na szczęście doszło do awarii silnika i w Błagowieszczeńsku nastąpiła kilkudniowa przerwa w rejsie i w grze. Także i tym razem zamieszkali u Karola Żołnarkiewicza.

Po kilku dniach pożegnali się z kolegą i kontynuowali podróż. Przewidywany czas podróży nie sposób było określić, bo jeśli na postojach nie było wysuszonego drewna do palenia w kotłach, to trzeba je było rąbać samemu, a że drewno mokre opałem jest kiepskim, to rejs mógł potrwać tydzień, dwa tygodnie, a może i dłużej. Szczęśliwie, w dalszą podróż udało się mniej pasażerów, więc otrzymali osobną kajutę, a zadowolony Dybowski czas spędzał na lekturze i pisaniu. Czy równie zadowolony był Godlewski? Tego nie wiemy. W przerwach rozmawiali z polskimi zesłańcami, bo wyszło na jaw, że nie tylko bufetowy Tomicki, ale i cały personel bufetu składał się z Polaków, którzy ciułałi kopiejkę do kopiejki na powrót do kraju. Okazało się, że tylko dwa razy trzeba było zrobić postój dla wyrębu lasu. Pasażerowie pracowali wspólnie z załogą albo drzewa piłując i rąbiąc, albo przenosząc opał na statek. Do nabrzeża w Strieteńsku przybili dość szybko, bo po 10 dniach rejsu.



Ilustracja 19. Strieteński port na rzece Kirenga i rzeka Szyłka<sup>70</sup>.

<sup>70</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *O Syberii i Kamczatce. Cz. 1.*

Tomicki poradził, aby zatrzymali się w hotelu pana Daszkiewicza. Hotelarz wywodził się z książęcej rodziny Korybutów, a Dybowski z Godlewskim dobrze już go poznali przed ośmioma laty w Siwakowej i Darasuniu. Teraz, prowadził porządny hotel i restaurację, gdzie serwowano smaczne dania<sup>71</sup>. Mieścina nie była warta dłuższego pobytu, ale Godlewski oddał zniszczone buty do zakładu pana Marcinkowskiego, który na zesłaniu odkrył w sobie talent szewski i prowadził całkiem dochodowy warsztat. Był oficjalnym szewcem kampanii żeglugowej, ale nie tylko burty reperował, bo wyrabiał także eleganckie damskie pantofelki, uchodzące wręcz za paryskie. Przypadek Marcinkowskiego stał się dla przyjaciół pretekstem do przypomnienia sobie wszystkich Polaków, dla których przymusowy pobyt na Syberii był okazją do odkrycia w sobie iskry bożej i wykazania się mistrzostwem w przeróżnych zawodach i dziedzinach nauki. Lista była bardzo długa, więc jej tu nie przytoczę. Wymienię tylko hrabiego Tyszkiewicza, który na Syberii wyuczył się buchalterii i administracji, po czym został głównym księgowym w towarzystwie żeglugi, a że hrabia był akurat służbowo w Stretieńsku, to przyjaciele złożyli mu wizytę. Hrabia-buchalter ożenił się z prostą Sybiraczką. Zarabiał dobrze, bo 75 rubli miesięcznie, a dodatkowo otrzymał darmowe mieszkanie i opał. Pracy miał jednak moc i narzekał, że dziczeje na tym końcu świata, więc z radością witał każdego rodaka.

Przy okazji pobytu badaczy w hotelu pana Daszkiewicza, nie zawadzi wspomnieć, że świadczone przez naszych rodaków usługi nie zawsze stały na najwyższym poziomie. Pewien Amerykanin, który bywał w wielu syberyjskich hotelach, tak podsumował wrażenia z pobytu w pewnym hotelu w Nerczyńsku w roku 1886: „Jego gospodarzem był polski zesłaniec o nazwisku Klementowicz i mimowolnie pomyślałem sobie, że gdyby prowadził on w Polsce taki hotel jak ten w Nerczyńsku, to istniałyby wystarczające podstawy podyktowane troską o społeczną moralność i powszechne dobro, aby usprawiedliwić jego zesłanie w trybie administracyjnym do najodleglejszej części Syberii, niezależnie od jego poglądów politycznych”<sup>72</sup>.

Następnego dnia, dzięki papierom, w które zaopatrzył ich Kisielewski, a które głosiły, że są w ważnej podróży rangi państwowej, na stacji pocztowej dostali najlepsze konie i pomknęli ku Irkuckowi. O wyżywienie nie musieli się troszczyć, bo wszędzie polscy i rosyjscy znajomi z radością zapraszali ich na obiady, a z okazji ich przybycia często organizowali przyjęcia. W czasie tej długiej, lecz w porównaniu z innymi, dosyć wygodnej podróży, pan Wiktor wykazał się bystrością w jeszcze jednej dziedzinie. Często obdarowywano ich naręczami czasopism i nie zdarzyło się, by znalazł się tam rebus czy zagadka, której Godlewski w mig by nie rozwiązał. Warto też wspomnieć o pobycie w domu braci Butinów w Nerczyńsku. Był to w zasadzie nie dom, ale pałac zaprojektowany przez polskiego architekta Kulikowskiego. Budowla była wspanialsza od pałacu generał-gubernatora w Irkucku: salony, oranżeria i ogród

<sup>71</sup> Daszkiewicz narzekał, że przedstawiciele pewnej mniejszości, starali się na wszystkie sposoby torpedować wszelkie polskie inicjatywy handlowe, posuwając się nawet do podpaleń i zbrodni. Dwa lata później został otruty, a jego majątek rozgrabiono. O dokonanie zabójstwa podejrzewano niejakiego Samsonowicza, u którego znaleziono 500 ukrytych w bucie rubli, a który był ostatnią osobą, która widziała Daszkiewicza. Mocodawców Samsonowicza ponoć słono kosztowało uwolnienie zabójcy, po czym policja oświadczyła, że przyczyną śmierci Polaka było samobójstwo.

<sup>72</sup> George Kennan, *Syberia i zesłanie* [za:] Jewgienij Siemionow, *Rola polskich zesłańców politycznych w rozwoju hotelarstwa Zabajkala w drugiej połowie XIX w.*, s. 22.

zimowy z fontanną, wielkie akwarium ze złotymi rybkami, sala koncertowa z galerią. Sala nie została wystawiona tylko na pokaz, bo Butinowie posiadali także własną orkiestrę, której kapelmistrzem był Józef Latuskowicz. Pana Józefa poznał Dybowski podczas swej pierwszej zesłańczej podróży na Syberię. Butinowie zaprosili naszych podróżników na wieczorny koncert, a ci odwiedzili wcześniej Latuskowicza, w jego wygodnym mieszkaniu. Maestro był samoukiem, a na pytanie, czy wiele trudu kosztowało go wyuczenie się dyrygowania, odparł: „Chcącemu nie trudnego”<sup>73</sup>. Latuskowicz nie tylko dyrygował orkiestrą, ale był także głównym zarządcą majątku Butinów. Później pan Józef ożenił się z Sybiraczką i mocno „zsybirczeje”, ale nadal będzie niósł pomoc rodakom.

### PONOWNIE W IRKUCKU I NAD BAJKAŁEM

Do Irkucka przybyli w październiku i zajechali prosto pod obszerny dom wygnańca Eljasiewicza, który z powodzeniem prowadził handel na dużą skalę. A że ten Polak ze Żmudzi posiadał przy domu także oficyny, szczęśliwie w tym momencie puste, to przyjaciele znaleźli wygodne i niekrępujące lokum. Cena najmu była przystępna, w sam raz dla posiadaczy nader skromnych środków. Stać było pana Eljasiewicza na kilka kamienic murowanych, ale murów się obawiano ze względu na powtarzające się trzęsienia ziemi. Niechęć mieszkańców Irkucka do murowanych budynków przełamał dopiero wielki pożar, który w czerwcu 1879 r. strawił połowę miasta.

W porze obiadowej udali się do restauracji „Deko”, prowadzonej przez zesłańca Kazimierza Trepkę. W tym lokalu zwykli jadać zajmujący się ekspedycją zbiorów naszych badacze Henryk Wohl<sup>74</sup> i Feliks Zienkowicz. Był tylko Wohl i miał do przekazania wiele nowinek. Okazało się, że z Petersburga przyszło zapytanie o Dybowskiego, Godlewskiego i Jankowskiego, a władze gubernialne wystawiły całej trójce pochlebne opinie i poprosiły, aby mogli wracać wprost do Warszawy. Okazało się także, że Taczanowski przysłał z Warszawy 500 rubli na koszty podróży całej trójki i oczekuje ich w Warszawie najpóźniej zimą. Termin wyznaczony przez Taczanowskiego był niemożliwy do dotrzymania z racji tego, że wciąż nie posiadali w rękach ostatecznych decyzji, a urzędnicze carskie młyny meły wyjątkowo powoli. Przysłana zaś kwota była niewystarczająca, nawet uwzględniając fakt, że Jankowski nigdzie się nie wybierał. Nowinek i ploteczek było znacznie więcej. Przykro było słuchać o losach Księżopolskiego. Wyjechał wraz z Czekanowskim jako preparator na wyprawę po Jeniseju. Tam zaczął pić niemożliwie, dostał ataku szału i trafił do szpitala dla obłąkanych.

Jan Czerski wrócił z wyprawy wzdłuż rzeki Irkut. przywożąc bogaty materiał paleontologiczny. Okazało się, że Godlewskiemu wystarczyło kilka wizyt w zakładzie Szultza we Władywostoku, aby zostać sprawnym fotografem. Pożyczył więc od irkuckiego fotografa Malmberga aparat wraz ze wszelkimi materiałami niezbędnymi do wykonywania zdjęć i rozpoczął dokumentowanie artefaktów zdobytych przez Czerskiego. Obrotnych Polaków było w Irkucku

<sup>73</sup> Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*, s. 590.

<sup>74</sup> Pochodził z rodziny żydowskiej, ale był zwolennikiem asymilacji Żydów. W powstaniu styczniowym kierował Wydziałem Skarbu Rządu Narodowego. Za udział we władzach powstania otrzymał wyrok śmierci, zamieniony później na dożywotnie zesłanie na Syberię. Do kraju powrócił w roku 1882. Cały majątek zapisał testamentem na rzecz polskich organizacji patriotycznych.

tylu, iż trudno się oprzeć wrażeniu, że żywioł polski objął niemal miasto w posiadanie. Wyjechali natomiast prawie wszyscy reprezentanci polskiej arystokracji, którzy jako osoby zwykle ustosunkowane i majątne, jako pierwsi opuścili Syberię. Dybowski zauważył, że sprzyjało to wytworzeniu się w mieście czegoś na kształt polskiej demokracji irkuckiej.

Szef miejscowego więziennictwa generał Sollfiano, osobiście potwierdził, że sprawa powrotu badaczy do kraju jest w toku, ale nie sposób określić, kiedy zapadnie ostateczna decyzja. Nie mając widoków na szybki wyjazd, by czasu w Irkucku nie mitrzyć, udał się pan Benedykt do oddziału Towarzystwa Geograficznego, z propozycją, że wraz z Godlewskim ponownie wyjadą nad Bajkał, w celu badania głębokości jeziora i jego fauny. Poza zgodą otrzymali też podobno niewielkie dofinansowanie. Natychmiast poczęli przygotowania do nowej wyprawy. W chwilach wolnych od fotografowania pan Wiktor konstruował chatkę, która mogła być przewożona na kołach lub płozach i miała uchronić badaczy od trudów spania w namiocie na lodach Bajkału. Koniec lutego, marzec i kwiecień 1876 r. zamierzali bowiem spędzić na Bajkale, a potem powrócić do Kułtuka, by opracować zebrany materiał. Okazało się niestety, że marne były szanse na powrót do Kułtuka, bo w opuszczonym przez Książopolskiego domu zamieszkał ktoś inny.

Do pomocy przy wyrębywaniu przerębli najęli biegłego w tej dziedzinie robotnika, tyle że strasznego opoja. Należało go pilnować przy robocie, a gdy już się upił, to zmuszać do spania – robotny abstynent był najwidoczniej zjawiskiem na Syberii niespotykanym. Po pijaku osobnik ten miewał reakcje dość nieprzewidywalne. Gdy upił się po raz pierwszy, to po otrzymaniu od Godlewskiego przewidzianej umową o pracę liczby razów, zamknął go pan Wiktor pod kluczem, zabrał odzienie i nakazał spać. Noce podzielili między sobą przyjaciele na szychty i na zmianę pilnowali ognia w piecu oraz robotnika. Gdy Dybowski wyjechał z Jurijem – bo tak ów pracobiorca miał na imię – do nadbrzeżnej miejscowości w interesach i po zakupy, to nie minęło wiele czasu, gdy panu Benedyktowi doniesiono, że Jurij leży w karczmie w sztok pijany, konie zaś zostały skradzione. Szczęśliwie, konie później odnaleziono. Proletariusz ów kierował się w życiu swoistą etyką. Uważał się za osobę głęboko religijną i w dzień postny, żadna siła nie zmusiłaby go do spożycia mięsa, ale okradzenie kogoś, a nawet i zabicie nie stanowiłoby problemu.

Skoro jesteśmy przy problemach alkoholowych, to powróćmy na chwilę do Książopolskiego. W końcówce roku 1875 wrócił ze szpitala dla obłąkanych. Przyjechał wraz z cioteczną siostrą, panną Robakiewiczówną, którą upatrzył sobie na nieszczęsną małżonkę. Ta, w rękach stale pijanego lub półpijanego narzeczonego cierpiała istne katusze. Polskie panie z Irkucka wyrwały więc biedulkę z rąk nicponia i wzięły pod swoją opiekę. Prawo do ręki panny mógł kochaś uzyskać, dopiero gdy pić przestanie, a w międzyczasie został zmuszony do oddania posagu i innych kapitałów otrzymanych od rodziny narzeczonej.

Główną bazą wypadową dla swych zimowych ekspedycji przyjaciele uczynili Listwiankę, a pomiary głębokości prowadzili od Gołoustnej do Posolska, po linii oznaczonej wiechami przez rządowych geometrów. Zaplanowali wykonanie pięciu pomiarów każdego dnia w przeręblach oddalonych jedna od drugiej o kilometr. Największym sukcesem były odkrycie, że jezioro składa się z dwóch basenów – wschodniego i zachodniego rozdzielonych

grzbietem, położonym na głębokości 60 m. Przy okazji pomiaru głębokości pobierali z dna próbki łu wraz z żyjącymi tam przedstawicielami fauny.



Ilustracja 20. Zbudowana przez Godlewskiego chatka na płozach. Pierwszy od prawej to pan Wiktor, Dybowski siedzi na progu chatki<sup>75</sup>.

Niewiele brakowało, żeby Godlewski nigdy nie wrócił do kraju. Feralnego dnia stali ze swoją chatką na płozach niedaleko Listwianki. Z Irkucka przybyło kilku gości m. in. żeby zrobić serię fotografii, ale że Dybowskiemu poczęła dokuczać rwa kulszowa, a wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że zerwie się wichura, to pan Benedykt odwiózł gości do osady, a i sam z racji choroby pozostał tam na noc. W nocy rzeczywiście zerwał się wichur wręcz szalony. Wszyscy trwożyli się o los pozostawionego na jeziorze Godlewskiego, lecz iść mu z pomocą było niepodobna. W środku nocy usłyszeli łomotanie do drzwi i ujrzeli coś na kształt legendarnego człowieka śniegu. Okazało się, że wichur chatkę obalił, wrzątek z przewróconego samowaru oblał Godlewskiego, a ten poraniony i poparzony ledwie się spod gruzowiska wygramolił. Później stracił orientację i kilka godzin wałęsał się po jeziorze, nim wreszcie zziębnięty i u sił kresu trafił do Listwianki.

Przez czas pewien obaj przyjaciele pospołu niedomagali. Gdy Godlewski doszedł do siebie, najpierw doprowadził do stanu używalności chatkę, choć bez znacznych strat się nie obyło, później zaś wyjechał, by zbadać, jak się mają sprawy w Kułtuku. Przywiózł dobrą i złą wiadomość, bo w domu wprawdzie ludzi już nie było, ale były za to miliony pluskiew. Pan Wiktor zobowiązał się dom odpluskwić, a do tego czasu mieli mieszkać w chatce. Po iście herkulesowej pracy dom nadawał się do zamieszkania. Nastąpiły dawniejsze, dobre porządki niczym za rządów Iwanichy i Księżopolskiego, a gospodarze mogli się skupić na pracy naukowej. Chatka służyła za letnie mieszkanie, gdy zjechało się dużo gości z Irkucka. Ponownie nieocenioną pomocą przy opracowywaniu przyrodniczych znalezisk służyli Zienkowicz i Wroński. Dwójka przyjaciół znalazła nawet czas by odbyć wyprawę nad leżące obecnie w Mongolii jezioro Chubsuguł, zwane mniejszym bratem Bajkału.

Dopiero w czerwcu 1877 r. otrzymali pozwolenie na powrót do kraju. Zaplanowali ruszyć w drogę z początkiem sierpnia. Czas dzielący ich od wyjazdu został w dużej części wykorzystany do wykonania dokumentacji fotograficznej badań. Podczas gdy Godlewski był myślami w Polsce, to Dybowski już planował wyprawę na Kamczatkę i gorączkowo

<sup>75</sup> Fotografia z książki: Benedykt Dybowski, *Pamiętnik dra...*

poszukiwał kogoś, kto mógłby godnie zastąpić Godlewskiego. Ten bowiem stanowczo odmówił powrotu na Syberię. Książępolski najwidoczniej wyrwał się ze szponów nałogu, bo i jemu pan Benedykt zaproponował, aby podczas planowanej wyprawy prowadził obserwacje meteorologiczne i zbierał rośliny. Co do prywatnych spraw Książępolskiego, to rodzice panny Robakiewiczówny obawiając się alkoholowej recydywy pana Władysława, wydali ją za zesłańca Danilewicza, a pan Władysław poszukał pocieszenia w ramionach pewnej Rosjanki, z którą szybko się ożenił i równie szybko rozstał. Na pożegnanie Książępolski otrzymał od przyjaciół fuzję, a drugą strzelbę dostał Czerski. Dość miał Dybowski ciągłych trosk finansowych i starał się, aby następna wyprawa była popierana i finansowana przez rząd, a on sam dostał jakąś posiadłość na półwyspie. To ostatnie życzenie szybko się spełniło, bo zwolniła się posada lekarza obwodowego w Pietropawłowsku na Kamczatce i objął ją właśnie pan Benedykt z pensją 800 rubli rocznie. Nadszedł czas powrotu na ojczystą ziemię. Dybowski żegnał się z Syberią ze smutkiem, a Godlewski w zupełnie odmiennym nastroju.

## W KRAJU

Podróż powrotna do kraju przebiegała znacznie szybciej i wygodniej niż ta na Syberię. Najtrudniejszy do pokonania pozostał odcinek z Irkucka do Niżnego Nowogrodu. Rekordziści potrafili pokonać tę trasę w 20 dni, ale należeli do nich tylko generał-gubernatorzy i specjaliści carscy kurierzy, na których zawsze czekały konie gotowe do podróży. Zwykli śmiertelnicy musieli wlec się dwa miesiące i więcej. Dybowski witany był w Moskwie i Petersburgu z radością i uznaniem przez luminarzy nauki. Zaproponowano nawet panu Benedyktowi objęcie katedry w Tomsku, ale odmówił. Czy podobnie witano Godlewskiego? Nie wiemy, bo gnał do kraju niczym na skrzydłach i nie chciał tracić czasu na żadne oficjalne spotkania. Po powrocie do kraju większość swych sił i czasu poświęcał pan Wiktor upragnionemu celowi, jakim było zdobycie choćby małego, ale własnego skrawka ziemi ojczystej, gdzie mógłby osiąść na starość i poświęcić się swym przyrodniczym pasjom. Ciężko pracował, aby cel ten osiągnąć.

Dybowski nie poddawał się i wielokrotnie proponował panu Wiktorowi wspólny wyjazd na Kamczatkę, ale Godlewski słysząc nawet o podobnych projektach nie chciał i coraz bardziej stanowczo odmawiał. Razu pewnego, przyjaźń ich omal się nie zakończyła, gdy pan Benedykt począł nierozważnie prawić przyjacielowi o małości tych wszystkich zabiegów na roli i przekonywać, iż powinien stawiać przed sobą wyższe cele. Godlewski był człkiem nadzwyczaj spokojnym, ale słysząc o małości swej harówki, niemalże wyszedł z siebie<sup>76</sup>. Nietrafiony okazał się także inny argument. Władze obiecały ponoć panu Wiktorowi zasiłek, jeżeli tylko podejmie się na Kamczatce próby aklimatyzacji różnych gatunków zbóż i zechce nauczyć autochtonów podstaw warzywnictwa i ogrodnictwa<sup>77</sup>. Słowo „zasiłek” dla kogoś, kto miał dosyć tułaczki, ciężko pracował i marzył o niezależności, brzmiało niczym obelga.

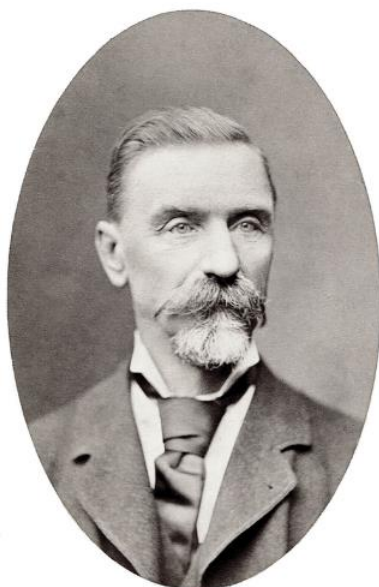
Gdy 27 grudnia 1878 r. Benedykt Dybowski wreszcie udawał się w swą wymarzoną podróż na Kamczatkę, to pierwszym przystankiem na trasie swej ekspedycji uczynił Czyżew, gdzie pan Wiktor zarządzał dobrami państwa Sokołowskich. Przybył tu wraz ze swym starym druhem z zesłania Stanisławem Kietlińskim oraz Jankiem Kalinowskim, synem rolnika z

<sup>76</sup> Benedykt Dybowski, *O Syberii i Kamczatce*. Cz. 1..., s. 14.

<sup>77</sup> Gabriel Brzęk, *Benedykt Dybowski*, s. 205.



Zielonki pod Warszawą, doskonałym myśliwym, następcą Godlewskiego. Do Czyżewa dotarli późno w nocy, a ich bagaże pojechały dalej do Petersburga. Dobra Sokołowskich były dosyć obszerne, bo z kilku folwarków złożone, więc pan Wiktor wciąż był zajęty i nie oczekiwali, by mógł im poświęcić zbyt wiele czasu. Spędzili jednak razem dzień cały, a Dybowski starał się, aby nie wspomnieć choćby i słowem o Kamczatce. Wieczorem, uściskali się, pożegnali w zgodzie, po czym Dybowski wsiadł wraz z Kalinowskim do wagonu trzeciej klasy, by rozpocząć trwającą półtorej doby podróż do stolicy imperium. Kietliński zaś powrócił do Warszawy. W drodze na Kamczatkę Dybowski odwiedził miejsca i osoby, które poznał w okresie zesłania. Wszyscy dobrze wspominali Godlewskiego, a gubernatorowa Aleksandra Romanowna wyznała, że myśli o pana Wiktorze, jak o bliskim krewnym.



Ilustracja 21. Wiktor Godlewski. Fotografia wykonana w Warszawie w roku 1890<sup>78</sup>.

Wprawdzie dopiero niedługo przed śmiercią dopiął pan Wiktor swego celu i nabył mająteczek Smolechy, ale posesorem (najprawdopodobniej dzierżawcą tego folwarku) stał się kilkanaście lat wcześniej. W swym pośmiertnym wspomnieniu o przyjacielu Feliks Zienkowicz napisał bowiem, że podczas swej wizyty w Smolechach przed „dziesięciu laty”, czyli około roku 1890, zastał siedlisko Godlewskiego już dobrze zagospodarowane:

Z nim razem cieszyłem się widokiem skromnej siedziby, którą sobie obrał na stare lata. Z największym zamiłowaniem zadrzewiał ją i przyozdabiał roślinnością bogatej, a tyle nam wspomnień nasuwającej flory Syberii południowo-wschodniej. Więc wszędzie dookoła widziałem tam sybirskie modrzewie, cedry, pichty, brzozy i rozmaite drzewa i krzewy, z nasion ze sobą przywiezionych wyhodowane i zasadzone w gruncie, a obok nich w trawie i na kwietnikach pełno kwiatów i roślin zabajkalskich, co wszystko nieboszczyk z lubością hodował i starał się aklimatyzować i w okolicy rozpowszechnić<sup>79</sup>.

<sup>78</sup> Fotografia nr 33 z książki: Benedykt Dybowski, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*.

<sup>79</sup> Feliks Zienkowicz, *Wiktor Godlewski. Wspomnienie pośmiertne*.



Niektórzy twierdzili, że nic z tych aklimatyzacyjnych eksperymentów nie wyszło i wszystkie rośliny zmarniały<sup>80</sup>. Podobno jednak w Smolechach, w sąsiedztwie miejsca, gdzie niegdyś stał dworek, rośnie wiele starych drzew. Może jakiś dendrolog rozpoznałby pośród nich, te pochodzące z Syberii? W roku 1891 pan Wiktor wydał broszurę *O syceniu miodu*, co świadczy, że jego zainteresowania przybrały bardziej praktyczny, gospodarski charakter. Pozostawał w ciągłym kontakcie z Władysławem Taczanowskim, od którego otrzymał bogaty materiał do opracowania. Pomimo nawału obowiązków, do ostatnich chwil pozostawał czynny społecznie i brał udział w pracach kilku towarzystw w Ostrowi Mazowieckiej. Był delegatem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, prezesem Towarzystwa Zaliczkowego, członkiem Rady Towarzystwa Dobroczynności oraz współzałożycielem Ostrowskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego. W chwili śmierci piastował stanowisko prezesa tego ostatniego Towarzystwa<sup>81</sup>. Pośród sąsiadów cieszył się powszechnym szacunkiem i został obrany nieformalnym sędzią polubownym między ziemianami<sup>82</sup>. Nazwiskiem Wiktora Ignacego Godlewskiego, oznaczono kilkanaście gatunków gąbek, mięczaków, kielży, ryb i ptaków<sup>83</sup>.

Dybowski był święcie przekonany, że to on odejdzie z tego świata pierwszy, a tymczasem przeżył swego przyjaciela o lat 30.



Ilustracja 22. Tablica na nagrobku Wiktora Godlewskiego na cmentarzu w Jasienicy.

Źródło: Archiwum prof. Jadwigi Sadowskiej.

Powyższa opowieść, tyle że w nieco zmienionej formie stanowi jeden z rozdziałów książki:

Jerzy Madzelan, *Ludzie i wydarzenia. Opowieści z historii Broku, Ostrowi i okolic*,

Ostrów Mazowiecka : Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej

w Ostrowi Mazowieckiej, 2022.

<sup>80</sup> Gabriel Brzęk, *Benedykt Dybowski*, s. 366.

<sup>81</sup> *Skąd przybyliśmy*; na stronie internetowej Banku Spółdzielczego w Ostrowi Mazowieckiej.

<sup>82</sup> *Wspomnienie pozgonne*, „Kurier Warszawski”, 1900, nr 325.

<sup>83</sup> Gabriel Brzęk, *Wiktor Godlewski (1831-1900)*, s. 62.

BIBLIOGRAFIA

- Brzęk Gabriel, *Benedykt Dybowski*, Lublin : Wydawnictwo Lubelskie, 1981.
- Brzęk Gabriel, *Wiktor Godlewski (1831-1900)*, „Studia Łomżyńskie” 1997, T. 8, s. 49-63.
- Brzęk Gabriel, *Udział Polaków w badaniach przyrody Syberii, a zwłaszcza Bajkału*, „Analecta” 1999, T. 8, nr 1 (15), s. 121-190.
- Domaniewski Janusz, *Benedykt Dybowski*, Warszawa : Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1954.
- Dyakowski Bohdan, *Badacz dalekiej północy*, Poznań : Nakładem Księgarni św. Wojciecha, 1931.
- Dybowski Benedykt, *Wiktor Godlewski. Wspomnienie pośmiertne*, „Kosmos” 1900, T. 25, s. 690-693.
- Dybowski Benedykt, *O Syberii i Kamczatce. Cz. 1. Podróż z Warszawy na Kamczatkę*, Warszawa : Gebethner i Wolf, 1912.
- Dybowski Benedykt, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*, Lwów : Nakładem rodziny autora, 1913.
- Dybowski Benedykt, *Pamiętnik dra Benedykta Dybowskiego od roku 1862 zacząwszy do roku 1878*, Lwów : Wydawnictwo Zakładu Naukowego Imienia Ossolińskich, 1930.
- Kaczyńska Elżbieta, *Syberia: największe więzienie świata (1815-1914)*, Warszawa : Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, 1991.
- Pietruchowa G. A., *Polscy badacze Syberii (w świetle materiałów archiwalnych)*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1971, nr 2, s. 369-375.
- Katarzyna Kowalska, *Godlewski Wiktor*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 8, Wrocław : Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich, 1960.
- Siemionow Jewgienij, *Rola polskich zesłańców politycznych w rozwoju hotelarstwa Zabajkala w drugiej połowie XIX w.*, „Wrocławskie Studia Historyczne” 2015, T. 15, s. 9-27.
- Skąd przybyliśmy*, na stronie internetowej Banku Spółdzielczego w Ostrowi Mazowieckiej: [bsostrowmaz.pl](http://bsostrowmaz.pl). [dostęp 15.10.2021 r.]
- Więści. Ś. p. Wiktor Godlewski*, „Gazeta Świąteczna” 1900, nr 49.
- Wójcik Zbigniew, *Aleksander Piotr Czekanowski. Szkice o ludziach, nauce i przygodzie na Syberii*, Lublin : Wydawnictwo Lubelskie, 1982.
- Wójcik Zbigniew, *Wiktor Ignacy Godlewski – zesłaniec i badacz przyrody Syberii*, „Studia Łomżyńskie” 2003, T. 14, s. 77-95.

*Wspomnienie pozgonne*, „Kurier Warszawski” 1900, nr 325.

Zielonka Ludwik Jastrzębiec, *Wspomnienia z Syberii od roku 1863-1869*, Kraków ; Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1906.

Zienkowicz Feliks, *Wiktor Godlewski. Wspomnienie pośmiertne*, „Wszecławiat” 1900, nr 48.

*Zmarli. Wiktor Godlewski*, „Tygodnik Ilustrowany” 1900, nr 49.

#### ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

*Księga małżeństw parafii Nur 1822 r.*, Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Pułtusku; za pośrednictwem portalu: *geneteka.pl*.

*Księga aktów urodzenia przy kościele filialnym boguckim 1831 r.*, Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Pułtusku; za pośrednictwem portalu: *geneteka.pl*.

*Księga aktów zejścia parafii Zuzela 1840 r.*, Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Pułtusku; za pośrednictwem portalu: *geneteka.pl*.

#### ILUSTRACJA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ

Wiktor Ignacy Godlewski. Fotografia wykonana w Irkucku w roku 1875<sup>84</sup>.

---

<sup>84</sup> Fotografia nr 32 z książki: Benedykt Dybowski, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej*.